Nr. 25. Warszawa, dnia 6 (18) Czerwca 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych i półrocznych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

WOJNA I DYPLOMACYA.

Płyną już, czy jeszcze wsiadają? Wsiadają, czy dopiero uczą się wsiadać? A może już wsiedli i siedzą? Cały kłębek pytań dalszych w odpowiedzi na pytanie najpierwsze: co się dzieje ze słynnym „korpusem ekspedycyjnym“ generała Shaftera w Tampie? Nie hiszpańskie, ale najrzetelniej amerykańskie źródła doniosły były o spełnionym już fakcie wypłynięcia na morze, w d. 8 b. m. Też same najrzetelniej amerykańskie źródła w kilka dni później starły z faktu charakter spełnienia się i powlekły go innym: rozpoczętego dopiero spełniania się. Rzeczywiście, wojsko ćwiczone od dwu miesięcy nad wielką zatoką wschodniego obrzeżenia zatoki Meksykańskiej, wsiadło na okręty, ale okręty nie ruszyły z obawy napaści hiszpańskiej. Podczas wsiadania dostrzeżono trzy wojenniki hiszpańskie, krążące w podejrzany sposób; na obronę miano tylko cztery własne: obawiano się zaskoczenia przez większą siłę. Wzmocniono tedy zbrojną asystę i nareszcie wyruszono; ale stało się to dopiero w sześć dni po owym „fakcie spełnionym.“

Płynie tedy wyprawa z dwudziestu kilku tysięcy ludzi, odpowiedniej liczby dział i koni ku pomorzu kubańskiemu, w które również, jak w Tampie, energia bojowa amerykańska wrzuca siew ustawicznych sprzeczności i zagadek. To już wylądowali, to dopiero wylądowania próbują, zdobywają pozycye, upatrują punkty do wyskoczenia na ląd. Okazało się, że pod Santjago nie było wcale Amerykanów mogła być tylko garstka ochotników, nie wojsko. Powstańcy od d. 6 b. m. sami są tam aktorami — oczekującymi z rolą, aż główny bohater zjawi się na scenie. D. 10 b. m wojsko amerykańskie rzeczywiście już wylądowało o jakie dziesięć mil na wschód od Santjago w zatoce Guantanama, po za górami Maëstra. Niezawodnie przez te góry prowadzi droga, są przejścia posiłkowe; w przeciwnym razie wybór punktu do działania na Santjago byłby niezrozumnym: tylko dla odciągnięcia sił można tam było bezkarnie wobec rozumu wysadzić sześciuset marynarzy napoczątek dopóki by więcej nie przybyło. Podstęp wojenny, a wskutek niego rozlupanie przeciwnika, osłabienie załogi w Santjago—są tak prawdopodobne, że celem obecnej wyprawy najpewniej jest natarcie na Santjago i zdobycie go nareszcie od lądu i od morza.

Od morza Hiszpanie są już zupełnie osaczeni: Sampson dawno już telegrafował, że nikt nie, ujdzie i miał słuszność. Mógłby tylko nadzieję rozwiać Camara, z Kadyksu, gdyby był zaraz wypłynął, ale w przeszłym tygodniu sam minister stwierdził niebojowość tej bojowej eskadry. Niema zatem odsieczy: nie będzie i ocalenia. Wyprawa lądowa, jeśli nie zdobędzie, odetnie od kraju i oglodzi. Jak teraz widać, Sampson d. 3 b. m. umyślnie zatopił owego „Merrimaca,“—niegdyś bohatera z wojny domowej, który na starość holował węgle — aby zamknąć zupełnie wylot z przystani. Hiszpanie sami to przyznali, a młodego oficera Hobsona, idącego na stracenie, podziwem przyjęli. Czy kadłub byłego potentata usunęli, aby im nie przeszkadzał, czy nie? — już nie oni z przeszkodą tą się liczyć, nie oni z usunięcia jej korzystać będą. Ani jeden okręt hiszpański nie wymknie się z rąk amerykańskich i bez pyszałkowatości mógł Sampson zapowiedzieć Cerverze, iż czyni go odpowiedzialnym za całość okrętów w przystani: nie wolno mu ich niszczyć; za zniszczone Hiszpania zapłaci. Los Santjago de Cuba będzie rozstrzygnięty z chwilą wylądowania wyprawy Shaftera.

Przygotowują Amerykanie wyprawę również na Portorico. Pierwsze strzelanie, w maju, nie powiodło się; drugie i trzecie — może być pomyślnem. Hiszpanie nie mają już okrętów bojowych, nie odpędzą Schleya ani Sampsona, a działa amerykańskie strzelają dobrze i niosą daleko. I na Filipinach również sprawa wojenna Hiszpanów źle stoi. Prowadzono ją z wielką nieradnością, bez ładu i porządku, bez ustopniowania czynności według ich wzajemnego związku i wagi dla wytkniętego celu; ale ostatecznie pogrom d. 1 maja dał tak silną podstawę, że na niej wiele zbudować i długo jeszcze budować można. Powstanie rozszerzyło się groźnie, władza hiszpańska na Luzonie prawie upadła. Manila jest osaczona i całą już nadzieję pokłada w swych zapasach żywności: nadzieja rozpaczy. Opanowanie archipelagu przez Amerykanów jest równie prawdopodobnem, jak zdobycie Santjago i zajęcie Portorico.

To robi wojna, a co robi dyplomacya? Jak po wojnie japońsko - chińskiej, tak i teraz już, kiedy koniec działań jest jeszcze dalekim — wytwarza się syndykat na wyrwanie Ameryce korzyści wojennych, dopiero przewidywanych. Cesarz Wilhelm zwołać chce — może nie w tej chwili jeszcze — radę ogólną świata politycznego dla zachowania wysp Filipińskich jeżeli nie dla Hiszpanii, to przynajmniej dla Niemiec, jeśli nie w całości, to przynajmniej w części — dla Hiszpanii lub dla Niemiec, ale nigdy dla Ameryki. Jest to

zbyt ważne stanowisko na wschodzie Azyi, aby bezpieczeństwo interesów wschodnio-azyatyckich owego syndykatu mogło je spokojnie widzieć w rękach Amerykanów. Francya — również syndykatu broniąca — ma jeszcze i zamiary na wyspy Kanaryjskie — i także Hiszpanii przeciwko Stanom Zjednoczonym bronić będzie. Rok 1895 powtórzy się w 1898.

Z WIDOWNI WALKI.

Obóz amerykański w Tampa Bay. — Karność pośród powstańców kubańskich.

Według wiadomości telegraficznych, Stany Zjednoczone, aby nadać energiczniejszy obrót wojnie, wysadziły na brzegi kubańskie kilka większych i mniejszych oddziałów wojska. Oddziały te prawdopodobnie będą wkrótce wzmocnione. Miejscem, skąd wyruszają, jest port Tampa Bay we Florydzie; tu przybywają coraz nowe zaciągi prawidłowe i ochotnicze.

Jedno z wielkich pism paryskich (*Eclair*) ogłosiło w tych dniach ciekawy list korespondenta swego z placu bojów, malujący barwnie życie wewnętrzne i nastrój obozu w Tampa Bay. Sądząc, że zaciekawi on czytelników, podaję go w streszczeniu. List datowany z początku czerwca.

Tampa Bay, miasto, o którem tak często jest mowa, od początku walki należy do tych nadzwyczajnych stacyj amerykańskich, które stworzył dolar. Powstało ono dzięki fantazyi krezusa amerykańskiego, Planta (który pierwszy osiadł w owym zapadłym kącie Florydy) i w przeciągu kilku lat zyskało olbrzymi rozgłos. Dziś z pierwszym mrozem bogacze amerykańscy ciągną na południe, do Tampy.

W tym roku sezon skończył się, hotele opustoszały i pozamykały się, gdy naraz wypowiedzenie wojny ożywiło stacyę. Ministeryum wojny wyznaczyło Tampę na punkt zborny korpusu, mającego ruszyć na Kubę i w bardzo krótkim czasie zaczęły napływać oddziały wojska, potem ochotników.

Wszystkie hotele Tampy pozajmowali oficerowie. Ten wykwit militaryzmu w kraju „bussinesu“ przedstawia dziwny widok. Po odbyciu ćwiczeń w obozie wszystko wraca do miasta. Tu najbardziej wyszukane stroje kobiece mieszają się z najdziwniejszymi ubiorami wojskowymi. Dziennikarze postrojeni po wojskowemu i snobowie waszyngtońscy rozprawiają poważnie o kwestyach wojskowych, a cały ogół, dotąd jedynie myślą o dolarach zahypnotyzowany, obecnie roi tylko o sławie wojskowej.

Hufce ochotnicze przybywają codzień i obóz wzrasta ogromnie. My Europejczycy, przyzwyczajeni do innych obyczajów wojskowych, z pewnem zdziwieniem patrzymy na improwizowanego żołnierza. Sądzimy np., że należy zasadzić go do pracy niewyczerpanej, dniem i nocą ćwiczyć. Władze wojskowo amerykańskie myślą inaczej. Nie obarcza się wcale ochotników; kilka godzin wpraw wojskowych i koniec. Potem słucha się mów zagrzewających albo kazań, którym towarzyszą śpiewy i muzyka i na które schodzi się wszystko, co żyje.

Korpusów ochotniczych jest dotąd siedem. Pierwszy, trzeci i szósty pod wodzą generałów Brooke'a, Wade'a i Wilsona obozują w pobliżu Tampy, w Chukamauga; drugi pod Grahamem w Falls Church, czwarty pod Coppingerem w Mobile, piąty i siódmy pod Schafterem *) i Lee'em, jako też kawalerya pod Whelerem znajduje się w Tampie.

Niedawno istniały ledwie zręby piątego i siódmego korpusu. Dziś wszystko jest uzupełnione, tak że w Tampie i w okolicy Amerykanie mają więcej niż pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy.

Statków przewozowych jest jedenaście. Pięć wielkich żaglowców i sześć parowych. Nazwy ostatnich brzmią: „Floryda,“ „Allegany,“ „Decathur,“ „Gomal,“ „Palamo“ i „San Marcos.“ Mogą one przewieźć najwyżej dwadzieścia tysięcy ludzi; choćby już z tego powodu wyprawy muszą być powtórne. Co do planu, niemożebnem jest dowiedzieć się czegokolwiek.

Zresztą korespondenci pism są tu poddani surowemu dozorowi. Depesze muszą przejść naprzód przez ręce władz wojskowych, wszystko, co dotyczy armii, nie może być w nich cierpianem. Listy także podlegają kontroli.“

Pisma europejskie, czerpiące swój pokarm przeważnie z dłoni hiszpańskich, nie odznaczają się wielką czułością dla Kubańczyków. Rokoszanie to, zdaniem ich, krwiożerczy bandyci.

Są jednak fakty, które pozwalają inaczej sądzić. *L'aurore* z 9 czerwca podaje przesłany jej z Kuby okólnik, wydany do wojsk powstańczych z rozkazu generała Kaliksta Garcie, po zajęciu miasta Bayamo.

„Oddział wojskowy wschodni. Rozkaz powszechny z dnia 27 kwietnia.

W chwili, gdy siły oddziału pod mojem dowództwem zajmują wsie i miasta, które nieprzyjaciel opuszcza z pośpiechem, ufam, że nikt z was nie popełni nadużyć, ani nieporządków. Ale ponieważ za wojskiem włóczą się jednostki z zamiarami kradzieży lub innych przestępstw, muszę powziąć następujące postanowienia:

1) Naczelnicy brygady, dywizyi albo korpusu, zarówno jak i kolumny lotne, wszędzie w te miasta, ustawią natychmiast placówki i polecą im czuwać nad zachowaniem porządku i zapewnieniem bezpieczeństwa zarówno mieniu, jak i mieszkańcom.

2) Zatrzymają i poddadzą pod sąd wojenny wszystkich, którzy będą schwytani na gorącym uczynku kradzieży albo rabunku lub też jakiegokolwiek zamachu na osoby i własność.

3) Winni tych przestępstw będą ukarani natychmiast śmiercią, dla przykładu.

4) Każdy dowódca lub oficer pijany ulegnie karze więzienia od jednego do trzydziestu dni. Podoficerowie i żołnierze narażają się w tymże wypadku na równie surową karę.

Wszyscy dowódcy zbrojni odpowiadać będą za wykonywanie skrupulatne tych postanowień i zdadzą sprawę w głównym obozie z wykroczeń przeciw nim.

Rozkaz ów będzie czytany codzień głośno przy rannem zwołaniu.

Z rozkazu generała
pułkownik Tomasz Collazo.“

Od tych bandytów nauczyliby się wiele Hiszpanie. I armie kolonialne — dodaje *Aurore*. *B.*

*) Ten wyruszył 9 czerwca na Kubę.

Tydzień polityczny. Ponowiony według zwyczaju wybór prezydenta franc. Izby deput. wydał znowu p. Deschanela, bardzo nieznaczną, podobno kilku tylko głosów, przewagą. Wszczęła się zaraz bijatyka w Izbie. Zażądano nakazu zobowiązującego do republikanizmu; po długich rozprawach w d. 14 b. m. 295 głosów przeciwko 246 Izba postanowiła

57)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Wyjazd.

Parowiec wkrótce ma odpłynąć. W przystani Korsakowskiej, zapełnionej workami z mąką, porusza się smutna procesya.

Na noszach i w krzesłach niezgrabnych prostej roboty, niosą ciężko chorych z kategoryi chirurgicznych, wysłanych dla dokonania operacyi w Aleksandrowsku.

Na twarzac ludzi maluje się cierpienie... Przed nimi jeszcze podróż przez burzliwą cieśninę Tatarską.

Jednocześnie na przystani rozgrywa się tragedya, komedya, tragikomedya.

Agata Zołotych wraca z Sachalinu do stron rodzinnych i żegna się ze swoim „towarzyszem życia,“ osiedleńcem pochodzenia niemieckiego.

Dzieje Agaty Zołotych można scharakteryzować następującemi słowy poety:

„Mało słów, lecz niedoli — rzeka; niedoli rzeka bezdenna...„

„Agata Zołotych“ — to jej imię nieprawdziwe, lecz włóczęgoskie. Dostała się na Sachalin dobrowolnie.

Jej ukochanego wysłano do katorgi za fałszerstwo pieniędzy.

Ażeby pójść za nim, oddała się w ręce władzy jako włóczęga.

„Niepomną“ skazano na Sachalin, gdzie ją czekała nowa niedola:

Ten, dla którego poszła do katorgi, umarł.

Agata Zołotych ujawniła swoje nazwisko i prosiła, ażeby ją odesłano do stron rodzinnych.

„Wędrowały papiery,“ a przez ten czas coś przecież jeść trzeba.

„Agata“ zbliżyła się do osiedleńca i poszła na towarzyszkę.

Potroszę przyzwyczaiła się do niego, polubiła go, gdy nagle przychodzi rezolucya:

„Odesłać Agatę Zołotych do stron rodzinnych w Rosyi.“

— Bywaj zdrów, Karolu! — woła Agata, połykając łzy. Nie wspominaj źle. Dobrze może niema za co.

— Bywaj zdrowa, Agatko! — żegna Niemiec młody.

Statek przewozowy odbija, za pół godziny wraca i przywozi... „Agatę Zołotych.“

Na parowcu zaś pojawienie się „Agaty Zołotych“ wywołało wielką sensacyę.

Jakto? Przecież w przeszłym roku, zawieźliśmy Agatę Zołotych. Wybornie pamiętamy! Z powodu jej nawet przeprowadzono korespondencyę. Jak tylko przybyliśmy do Odesy, Agata Zołotych, nie czekając aż przyjdzie po nią policya, zbiegła z parowca.

Okazuje się, że nie pragnąc opuszczać człowieka, którego pokochała, przybrała obce nazwisko, a pod jej właściwem korzysta sobie za swobody w Rosyi — jakaś katorżnica.

Teraz stanowczo wzbraniają się przyjąć Agatę Zołotych na parowiec.

— Ależ to przecie prawdziwa „Agata Zołotych“! Wszyscy ją tutaj znają! To była jakaś omyłka — zapewnia zarząd więzienny.

— A nam co do tego! Mamy po dwa razy jedną i tę samą „Agatę Zołotych“ wozić?

Odwożą ją znowu na brzeg sachaliński.

— No, Karolku! Widocznie już los nam kazał żyć razem — mówi Agata — idźmy do domu!

— Po cóż ja mam iść z tobą, Agatko? — mówi z zimną krwią Niemiec. — Wolę wziąć sobie inną babę.

na wniosek Ribota i Richarda: „prowadzić politykę opartą na zjednoczeniu republikanów, opierając się na większości wyłącznie republikańskiej.“ Ponieważ p. Meliu zbijał bezskutecznie wyłączność, musiał zatem wrócić do dziennikarstwa, po dwu bezprzykładnych latach jednociągłego rządzenia. P. Faure, według zwyczaju powołał prezesów obu Izb: Deschanela i Loubeta; Ribot i Richard jako zwycięzcy nie będą pominięci.

Rząd przedlitawski d. 13 b. m. odroczył na trzy miesiące sławetną Izbę deputowanych. Posiedzenia d. 14 b. m. wcale już nie było. Konstytucyą, zawieszoną z konieczności, na punktach naglących wyręczać będzie wiadomy § 14. Koło polskie po odrzuceniu wniosku p. Milewskiego przez lewicę niemiecką ogłosiło zbiorowe oświadczenie, słabe, trwożliwe, ale w danym razie zjednywające Czechów, o co głównie chodziło. Niemcy czescy mają czas do porozumienia się z ojczyzną pan-germańską i przygotowania rozkładu Austryi, nad którym pracuje już pewno i dyplomacya.

P. Chamberlain bronił w parlamencie tezy swej mowy birmingamskiej: z Ameryką przeciwko Europie, a zwłaszcza Francyi. Instynkt zachowawczy nakazuje Anglii sprzymierzyć się z wielką rzecząpospolitą; ale czy nie za późno już ten instynkt ocknął się i drgnął?

W Galicyi wystąpił naganny, żywiołowy ruch przeciw Żydom. Wywołali go doktrynerzy antisemityzmu.

W Niemczech d. 16 b. m. odbyły się wybory do sejmu cesarstwa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UBEZPIECZENIE ROBOTNIKÓW.

Dotychczas wszędzie za granicą, gdzie kwestya warunków pracy bardziej dojrzała, uznano za najwłaściwszą formę utrwalenia podstaw przyszłości — ubezpieczenie. Nie rozwiązuje ono całkowicie kwestyi, nie sięga do jego rdzenia, nie zmienia zasadniczo warunków bytu i pracy, ale przynajmniej daje to, czego dotychczas żadne inne sposoby nie dały. Daje mianowicie rękojmię, że w razie niezdolności do pracy, w razie kalectwa lub przedwczesnego stargania sił, pracownik i jego rodzina będą mieli zapewnione istnienie materyalne. Za granicą ruch w tym zakresie rozwija się coraz bardziej, ogarnia coraz szersze warstwy pracujących, gdy u nas jest zaledwie w zarodku. O ubezpieczeniach różnej kategoryi pracowników mówiono bardzo dużo, rozprawiano nawet w różnych instytucyach. Ale w życiu zrobiono mało, być może dlatego, że społeczeństwo nie jest dostatecznie uświadomione w tej mierze i że nie mamy wzorów gotowych, które u nas dałyby się całkowicie lub z małemi zmianami zastosować. Oczywiście mówimy o takich wzorach, które bez długich zabiegów i zawiłych dróg formalistyki dałyby się wprowadzić. Otóż w tej chwili mamy takie przepisy organizacyi, które należałoby polecić naszym warstwom zarobkodawczym i pracującym, zwłaszcza, że nie chodzi tutaj tylko o jedną kategoryę robotników, której ubezpieczenie od wypadków nieszczęśliwych staje się obowiązkowem.

Wzorem tym jest zatwierdzona przed kilku miesiącami ustawa Towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia robotników od wypadków nieszczęśliwych. Streszczenie punktów ważniejszych da pojęcie o zadaniach tej organizacyi *). Przedewszystkiem ważnym warunkiem jest to, że członkami mogą być nietylko fabryki, lecz i warsztaty.

Każdy członek przyjęty płaci wpisowe w wysokości, oznaczonej przez zebranie ogólne i zawiera z towarzystwem umowę, której wzór układa zebranie ogólne, a zatwierdza minister spraw wewnętrznych po porozumieniu się z ministrem skarbu.

Członek towarzystwa powinien stosować się nietylko do przepisów rządowych, tyczących się robót w fabryce, ale wprowadzać także środki, mające na względzie zabezpieczenie robotników od wypadków.

*) Czerpiemy z *Gazety Sądowej*.

Środki te muszą być zgodne z przepisami rządowymi. Zakład przemysłowy, który nie stosuje się do odpowiednich poleceń zarządu, może być zobowiązany do płacenia składki wyższej, albo nawet wykluczony z towarzystwa.

Prawa, które wskutek umowy, zawartej przez fabrykę z towarzystwem, wynikną dla fabryki, służą także poszkodowanemu; on, i jego rodzina, może zażądać bezpośrednio od towarzystwa odszkodowania, należnego mu stosownie do umowy.

Jest to tylko prawo poszkodowanemu służące, nie obowiązek jego; może on zwrócić się o wynagrodzenie do zarobkodawcy, jeżeli to uzna za korzystne dla siebie.

Towarzystwo, za wypłatę należnego poszkodowanym wynagrodzenia, odpowiada całym majątkiem swoim i solidarnem poręczeniem członków, tj. że w razie braku środków na pokrycie zobowiązań towarzystwa względem poszkodowanych, członkowie powinni je uzupełnić.

Fundusze towarzystwa powstają *a)* z wpisowego, *b)* z premij, opłacanych przez członków i dzielą się na kapitały: 1) wpisowy, 2) zapasowy i 3) rezerwowy, zabezpieczający prawidłowe wypłacanie rent.

Na pokrycie wydatków towarzystwa używają się tylko premia przez członków opłacane; z nich tworzą się także kapitały: zapasowy i rezerwowy.

Kapitał, powstały z wpisowego, może być użyty jedynie wtedy, jeżeli na wydatki nie starczy dochodu i kapitału zapasowego, przyczem kapitał wpisowy winien być uzupełniony w końcu roku z dochodów, a gdy tych nie starczy, brak pokrywają członkowie towarzystwa.

Do kapitału rezerwowego corocznie dodaje się tyle, ile trzeba na zabezpieczenie wypłaty rent, które się w ciągu roku utworzyły.

W oczekiwaniu wyjazdu towarzyszki, Niemiec zdążył upatrzyć sobie inną i umówić się z nią.

Agata kiwa głową:

— Byłeś ty, Karolku, łotrem i zostałeś nim. Tfu!

— Agato, Agato! gdzie idziesz? Zaczekaj! — woła ktoś z „inteligencyi.“ Siadaj na statek przewozowy. Poproszę kapitana, może zabierze!

Agata staje na chwilę:

— A idźcież wy wszyscy do dyabła! — woła gniewna, rozdrażniona i idzie dalej. Dokąd?

— A dyabli wiedzą dokąd!—jak mówią w takich razach na Sachalinie.

Jeszcze raz — trzeci, a już życie zupełnie będzie stargane.

Czas jednak na parowiec.

— Wszystko gotowe — mówi.... książę perski.

Prawdziwy książę, do którego listy z kraju są adresowane zawsze: „jaśnie oświecony.“

Skazano go do robót ciężkich wraz z bratem za zabicie trzeciego brata.

Odbył katorgę i teraz jest niby nadzorcą nad wysłanymi.

Wydaje rozporządzenia na przystani, jest bardzo surowy i mówi do katorżników tonem człowieka, który przywykł rozkazywać:

— Aleksiejew, podawaj statek! Proszę, panie! — i dopomaga były książę zejść z przystani.

Ostatni statek przewozowy, zabierający resztki towaru, odchodzi już od parowca.

Brzmią pieśni kotwicowe, dolatuje dzwonek telegrafu, rozlega się komenda.

„Jarosław“ na pożegnanie trzykrotnie gwiżdże i powoli odpływa od brzegów.

Pożegnałem Korsakowsk, taki czysty, wesoły, „niepodobny do katorgi“ na pierwszy rzut oka, a w głębi tak dużo ukrywający niedoli, cierpień i błota.

„Jarosław“ przyspieszył biegu.

Brzegi znikły w mgle dalekiej. Przed nami prawdziwa katorga—Aleksandrowsk, gdzie umieszczono wszystkich największych zbrodniarzy, długoterminowych. Rykowsk, Onor, tajga, tundry, kopalnie...

— Korsakowsk, to jeszcze raj! — mówi jeden z podróżnych, urzędnik sachaliński.

— Albo to Korsakowsk katorga? Czy to Sachalin?..

Ludzie wolni na Sachalinie.

Redaktor-wydawca.

Gdyby kopuła niebieska pękła nade mną, ziemia się rozstąpiła pod nogami, morze zakipiało, drzewa zaczęły latać, ryby mówić, ptaki polować na niedźwiedzie, byłbym mniej zdumiony, niż w tej chwili; Na przystani, w kurtce, z „Jerzym“ na piersiach i olbrzymimi znakami instytucyi więziennej na plecach, stał ciskając grzmoty i błyskawice, kierując robotami... były redaktor-wydawca gazety *Głos Moskwy* i wielu innych, W. B—w.

Proszę sobie wyobrazić Herkulesa, którego całe piersi pokryte medalami. Życie jego było nadzwyczaj ruchliwe.

Służył w wojsku i wyszedł z niego jako żołnierz.

Rzucał się na wszystko i w niczem umiarkowania nie znał.

Był właścicielem ogromnego majątku, prowadził udoskonalone, racyonalne gospodarstwo i dobra te najracyonalniejszym sposobem wysunęły mu się z rąk.

Następnie miał ogromną fabrykę mydła i świec, gdzie miały działać szczególne, dotąd nieznane maszyny. Ale ani mydła, ani świec, wytwarzanych za pomocą tych maszyn, nikt nie widział.

Potem był w Moskwie właścicielem wielkiej drukarni, w której jednocześnie drukował: trzy dzienniki, jeden tygodnik i jeden miesięcznik, nadto przyjmował dużo robót prywatnych.

I to przedsiębiorstwo stracił.

G. B—w był jednocześnie redaktorem-wydawcą *czterech* dzienników i wydawał z nich trzy jednocześnie. (Trzy musiały

Tabele, wedle których oblicza się kapitał rezerwowy, zatwierdza ministeryum spraw wewnętrznych.

Jeżeli dochód roczny nie starczy na pokrycie wydatków towarzystwa i utworzenie kapitału rezerwowego, w takim razie sumę dopełniają członkowie w stosunku do opłacanych przez nich premij i stosownie do postanowienia ogólnego zebrania.

Gdyby po pokryciu wszelkich wydatków, utworzeniu rezerw i uzupełnieniu kapitału wpisowego pozostała jeszcze jaka suma, dołącza się ona do kapitału zapasowego, a w miarę jego wzrostu ogólne zebranie może zniżyć wysokość premij.

Członek towarzystwa powinien w ciągu godzin 24 zawiadomić zarząd o każdym wypadku, który spowodował śmierć lub uszkodzenie na zdrowiu robotnika, albo oficyalisty, pod rygorem utraty prawa do wynagrodzenia.

Jeżeli zarząd tego nie uczynił, a poszkodowany chce prawa swe zachować, winien o wypaku donieść w ciągu trzech dni; późniejsze zawiadomienia przyjmują się o tyle tylko, o ile zaszły okoliczności, które uczyniły zawiadomienie w terminie niemożliwem.

Robotnik, utraciwszy regres do towarzystwa, ma prawo żądać wynagrodzenia od zarobkowawcy podług zasad prawa cywilnego.

Zebrawszy dane potrzebne, zarząd stara się ułożyć z robotnikiem, a następnie wypłaca odszkodowanie, jakie przyzna sąd.

Sprawę prowadzi towarzystwo przez swego obrońcę bez względu na to, czy jest pozwany zarobkodawca, czy też ono samo, gdyż poszkodowany może sprawę wytoczyć przeciwko przemysłowcowi, u którego pracował lub przeciwko towarzystwu, nie oczekując nawet postanowienia co do polubownego załatwienia sprawy.

Ustawa podaje następujące normy odszkodowania:

1) W razie zupełnej utraty możności pracy, towarzystwo wypłaca: *a*) rentę równającą się całkowitemu zarobkowi poszkodowanego w ciągu roku ostatniego, jeżeli zarobek ten nie przenosił 240 rubli; *b*) jeżeli zaś przewyższał 250 rs. kawaler i kobieta otrzymują $^2/_3$ zarobku, mężczyzna mający rodzinę $^3/_4$, w każdym razie nie mniej niż 240 rs. rocznie.

2) W razie częściowej utraty możności zarobkowania, pozostała zdolność do pracy określa się procentowo i poszkodowany otrzymuje stosunkową część renty, jakąby otrzymał, gdyby możność zarobkowania utracił całkowicie.

3) Jeżeli robotnik lub oficyalista ponosi śmierć przy pracy, pozostała rodzina otrzymuje rentę w stosunku następującym: *a*) Wdowa i wdowiec, (ostatni jeżeli stan zdrowia nie pozwala mu pracować), 30% zarobku, jaki osiągnął zmarły w ciągu roku ostatniego. Wypłacanie renty ustaje z chwilą wstąpienia w nowe związki małżeńskie. *b*) Dzieciom małoletnim towarzystwo płaci rentę po 15% zarobku, obliczonego jak wyżej, jeżeli jedno z rodziców żyje i po 20% jeżeli oboje nie żyją; opłacanie renty trwa aż do ukończenia lat 15. *c*) Rodzice, jeżeli zmarły ich żywił, otrzymują po 15% zarobku.

Renta płacona po zmarłym nie może przewyższać w sumie 60% zarobku, jaki zmarły osiągnął w ciągu roku ostatecznego, przyczem wstępni mają prawo do renty o tyle tylko, o ile inni członkowie rodziny sumy tej nie wyczerpią. Jeżeli renta przewyższy 60%, w takim razie stosunkowo zmniejsza się suma otrzymana przez każdego członka rodziny.

Osoby, mające prawo do renty, mogą zamiast niej otrzymać kapitał jednorazowy, obliczony na zasadach przyjętych dla funduszu rezerwowego.

4) Jeżeli przedmiotem umowy była także czasowa niezdolność, trwająca dłużej niż dni 5, w takim razie poszkodowany otrzymuje połowę dziennego zarobku; towarzystwo wedle uznania swego może w każdym wypadku oddzielnym podnieść to odszkodowanie aż do całkowitego zarobku. Jeżeli zmarły leczył się w szpitalu bezpłatnie, towarzystwo ma prawo odjąć od sumy odszkodowania kwotę, oszczędzoną w gospodarstwie chorego przez pomieszczenie go w szpitalu.

Wypadek pojedynczy daje prawo do otrzymania wynagrodzenia tylko jednego rodzaju; jeżeli wszakże ten, kto otrzymuje rentę, umrze w ciągu roku i śmierć jego będzie następstwem wypadku, w takim razie rodzina ma prawo żądać odszkodowania jak po zmarłym, bezpośrednio po wypadku.

Powyższa forma ubezpieczeń znacznie ustępuje asekuracyi państwowej, przedewszystkiem z tego powodu, że nie jest obowiązkową. Posiada przytem zastrzeżenie, które wypłatę sumy asekuracyjnej stawia na gruncie chwiejnym. Położono nacisk na to, że poszkodowany nie otrzyma wynagrodzenia, jeżeli umyślnie nabawił się kalectwa. W interesie tedy przedsiębiorców będzie zawsze usiłowanie wynalezienia podstępu, a więc mitręga i procesy. Ustawa mówi, że poszkodowany na drodze polubownej otrzymać może 60—75% zarobku. Wielu na tem nie poprzestanie, więc znowu w perspektywie—sąd. Ustawa powyższa jest jednak z tego względu ważną, że uznano ją za normalną, a więc może być wprowadzoną w różnych miejscowościach, bez zawiłej formalistyki. Nadto jest ona lepszą od przepisów towarzystw prywatnych, gdyż nie ma na celu spekulacyi. Działać zaś może z pożytkiem tam, gdzie jeszcze ubezpieczenie państwowe nie sięga i nie prędko sięgnie.

---

wychodzić w Moskwie, jeden w Petersburgu).

Rozgłos miał olbrzymi, lecz krótki.

W dobrej myśli, nic nie podejrzewając, wydrukował w *Życiu* „Damę pikową" Puszkina, jako utwór początkującego literata, Nogtjewa. Wszelkie późniejsze przeproszenia i wyjaśnienia redakcyi nie już więcej nie dodały do laurów, zdobytych w ciągu dnia jednego

O *Życiu* pisały wszystkie gazety.

Ale to była jedyna chwila powodzenia literackiego.

Na rękach B—wa umierały gazety.

Na jego także rękach skończył żywot niedługi, lecz pełen cierpień, *Głos Moskwy*; skonała zaczęta przez Plewakę a dokończona przez innych samozwańców literackich gazeta *Życie*. Na jego rękach także zmarło bardzo groźne *Echo*, kupione przez B. od adwokata petersburskiego, p. T., owego znakomitego, który broniąc jeszcze znakomitszej Luizy Philippo, oskarżonej o zgorszenie publiczne, wyjął z portfelu pewien drobiazg jej toalety, potrząsał przedmiotem jedwabnym w powietrzu i wołał patetycznie:

— Nieprawda! Oto, co ona miała na sobie w „wieczór przestępstwa." Cała wina, że jedwab nie wytrzymał i pękł podczas ognistego kankana!

Po skończeniu karyery literackiej B. odrazu przedzierzgnął się... w „stanowego" gub. Niższonowogrodzkiej.

Tam nie zagrzał miejsca i dostał posadę „isprawnika" w Tomsku.

Z Tomska powędrował do Buenos-Ayres, z całą czeredą przewodników i sług objechał Argentynę.

Następnie przebywa w Chilii, szuka szczęścia w Kalifornii i wreszcie dostaje się na Sachalin w roli nadzorcy osiedleńców, organizatora bytu przestępców, którzy skończyli karę i — kolonizatora.

Takie w krótkich rysach są dzieje i przygody tego obywatela ziemskiego, fabrykanta, redaktora, policyanta i podróżnika naokoło świata.

Kula ziemska dla niego to samo, co okrągły ser holenderski, który obracał w ręku, aż wreszcie wybrał sobie kawałeczek.

Zdaje się, że tu, w walce z żywiołem, z przyrodą dziewiczą, ten człowiek „żywiołowy" powinien się czuć spokojniejszym, niż przy biurku na miękiem krześle redaktorskiem.

Jest to człowiek, posiadający energię olbrzymią, którą dotąd tak niewłaściwie zużytkowywał.

Działa tutaj tak samo burzliwie, jak przez całe życie.

Zakłada nowe wsie, rozmieszcza osadników wedlug narodowości.

— Wielkorusini do Wielkorusinów, Małorusini do Małorusinów, Polacy do Polaków, Niemcy do Niemców, żeby weselej było!

Wyszukuje najrozmaitsze sposoby zarobkowania dla osiedleńców, urządza warsztaty, uczy dzieci rzemiosła, wyrabia pługi, ażeby zastąpić nimi motyki pierwotne.

Wybudował cerkiew, szkołę, warsztaty, dom dla przyjezdnych, i to wszystko bez grosza — „za wódkę."

Człowiek to o „starym sposobie myślenia," słynie w swoim okręgu jako „surowy, gniewny, lecz dobry pan." Chociaż nie sądzę, ażeby jego sposób rządzenia „powierzonemi duszami" szczególnie sprzyjał wprowadzeniu do tych „dusz" jakiegokolwiek pojęcia o prawie.

„Inteligencya" sachalińska patrzy na niego krzywem okiem.

Katorga, która lubi wszystkim dawać przezwiska, nazwała go „atamanem-burzą."

(C. d. n.).

Z GALICYI.

Lekarstwo Niemców na chorobę państwową.—Krok niby stanowczy ze strony rządu wiedeńskiego. — Czem jest konstytucya teraźniejsza i jej przedstawiciele. — Stanowisko Węgier. — Jak u nas? — Stronnictwa różne. — Wybór posła do Rady państwa. — Tło ogólne.

Stara austryacka maszyna państwowo-biurokratyczna skrzypi, aż uszy bolą słuchać. Kopnął hr. Badeni ten brucht pordzewiały i dopiero wszyscy przekonali się, że strupieszały pień państwowy Austryi nie ma warunków do życia; w te korzenie, które jeszcze posiadają siłę żywotną, trzeba zastrzyknąć soków słowiańskich. Niemcy, którzy przez wiele wieków podlewali to drzewo monarchizmem, absolutyzmem, konstytucyą wreszcie, radziby mu znowu zaaplikować dobrą porcyę absolutyzmu, ale esencya zwietrzała i jest obawa mocna, czy wprowadzenie jej teraz w organizmy skrzepłe różnych narodowości, nie wywoła reakcyi. Walka przeto wre na całej linii, wszyscy radzą nad tem, jak chorego ratować. W oczekiwaniu radykalnego środka ratunkowego, Niemcy gwałtownie pragną i proponują zjeść Słowian. W Przedlitawii i zaczyna się im ogromnie podobać polityka pruska pod hasłem: wszystko dla Prusaków; a najsroźsi pożeracze Słowian radośnie pokazują zęby Węgrom, kokietując każdego „Madjarember“ za to, że tak skutecznie potrafi u siebie dusić wszystkich Słowian.

Rząd, pragnąc jaką taką powagę zachować i dać dowód, że nie znosi rządu w rządzie, rozwiązał radę miejską w Gracu, która zapomniawszy o tem, że Styrya to także kawałek Słowiańszczyzny, zapragnęła zabawić się w sejm pruski. Nieszczęście chciało, że porządek śród Niemców zrobił pułk piechoty bośniacko-hercegowińskiej, dając im do zrozumienia, że komenda niemiecka w wojsku na niewiele się przyda, gdy niema niemieckiego żołnierza. W Austryi jest armia niemiecka, ale żołnierz słowiański. Z tem trzeba się liczyć. Zdaje się, że ta okoliczność otrzeźwiła trochę patryotycznie nastrojonych Niemców z Gracu. Można przeto przypuszczać, że projektowane zjazdy niemieckich „mężów zaufania“ i studentów na narady do Gracu, skończą się wygadaniem i ucztą piwną.

Takie ostre i stanowcze wystąpienie rządu przeciw szowinizmowi niemieckiemu może mieć doniosłe znaczenie i wpływ na wytrzeźwienie Niemców austryackich. Rząd zdaje się zrozumiał, że wszelka praca pod naciskiem niemożebna i ażeby tego nacisku mniejszości raz na zawsze się pozbyć, należy być sprawiedliwym względem innych narodów i ludów. Ale czy tak będzie? Czy rząd austryacki, znany ze swojej chwiejności, potrafi wytrwać i utrzymać poważne stanowisko państwowe wobec nieurzędowego mieszania się w sprawy austryackie Prusaków? Wątpię. W każdym razie rozwiązanie rady miejskiej w Gracu, jest do pewnego stopnia ze strony rządu zerwaniem z Niemcami, a ponieważ Radę państwa już otwarto przed kilku dniami, należy spodziewać się burzliwych posiedzeń. Dotychczas nic nadzwyczajnego niema: w Radzie łają się i wymyślają sobie, jak furmani, po dawnemu.

Obiegały pogłoski, że jeżeli w Radzie rozpoczną się awantury, Izba będzie rozwiązaną, a rząd obejdzie się bez niej na podstawie paragrafu 14. I to może być. Dotychczas wszakże nic jeszcze groźnego niema. Bogiem a prawdą powiedziawszy, taki lub inny rząd na istotę rzeczy nie wpłynie, bo dzisiejszy parlament austryacki tak samo, jak w Niemczech, stał się zgromadzeniem ludzi, mających prawo bezkarnego gadania, co się komu podoba, ale niemających siły ani bronienia interesów krajów osobnych, ani swoich wyborców a tem bardziej stanowienia prawa. Jest większość rządowa — to dobrze; rząd uzyska od niej wszystko, co zechce. W takim stanie rzeczy konstytucya jest zabawką w wolność. Potrzeba było wspólnemu rządowi 30 milionów na armię, delegacya uchwaliła je; potrzeba Przedlitawii 15 mil. na wypełnienie luki, stworzonej w finansach przez podwyższenie płac urzędników — rząd z pewnością je mieć będzie, nałożywszy bodaj na podstawie § 14 podatek od spirytusu i cukru.

W chwili gdy Austrya — nie Austro-Węgry — znowu zagląda do kieszeni Przedlitawców, w chęci wypompowania z nich tego, co jest i czego niema (tę zdolność posiada tylko rząd austryacki!), Węgrzy zaczynają podnosić coraz wyżej głowę. Przedlitawia dla nich, od chwili uznania dualizmu w Austryi, była dostarczycielką pieniędzy na różne cele, jako też i rynkiem zbożowym i mięsnym. W roku zeszłym miano odnowić ugodę z Węgrami; po wielu trudach prawie dokonali tego hr. Badeni i Biliński. Nie wnikam w szczegóły, bo chodzi mi o co innego. Węgrzy uznali zasadniczo tę ugodę. Ale jako naród handlowy, zmiarkowali, że mogą jeszcze coś wytargować na sporach i niepokojach, panujących między sprzedającymi. Teraz, gdy przyszło do nowego zjazdu ministrów austryackich w Peszcie, celem zakończenia nareszcie sprawy ugodowej, Węgrzy stanęli twardo, tak że szanse, chociażby parlamentarnego prowizoryum, zmalały bardzo. Na tym uporze maszyna państwowa utknęła. Prasa nasza potępia Węgrów. Jest to naród, który prowadzi politykę egoistyczną w wysokim stopniu i umie ją prowadzić. Co nas obchodzi, że Niemcy chorzy — powiadają oni; — czy dlatego mamy kłaść się do łóżka? Wyrabia się tedy na Węgrzech opinia, że trzeba z owej choroby niemieckiej skorzystać. Czy Węgry otrzymają swoje od rządu absolutnego czy konstytucyjnego, jest to dla nich wszystko jedno. Z taką zasadą wystąpiło jedno z pism peszteńskich. Jest to stanowisko i dogodne, i niebezpieczne. Dogodne o tyle, że od słabego wszystko uzyskać można, a niebezpieczne, bo gdy się komuś pozwala innych brać za głowę, kto wie, czy ta sama ręka i nas nie weźmie. Chyba, że Węgrzy w uzdrowienie Austryi nie wierzą.

Gdy się tak ważą losy państwa na szali, mimowoli nasuwa się pytanie: a cóż my mamy robić? Jak się ma zachować nasza reprezentacya? Czego mamy prawo żądać dla Galicyi? Nie wiem, czy kto takie pytania postawił publicznie, ja jednak w prasie nie spotkałem się z niemi. Widzę tylko rzecz wysoce smutną: że Polacy w parlamencie stoją wobec niebezpieczeństwa rozbici na grupki i bezradni. Największą grupę stanowi Koło polskie, które nic nie robi w chwili obecnej; reszta: grupa ludowców — zawiązek stronnictwa ludowego — Stojałowczycy, socyaliści i trzech Rusinów, wszyscy waśnią się z sobą, a zaślepieni bezgraniczną miłością własną, dopomagają Niemcom do mordowania własnych braci. Są to wychowańcy kultury niemieckiej i polityki austryackiej. Niema pośród nich takich, którzyby z rozpaczy „rznęli kobierce Winrycha,“ ale są tacy, którzyby na tych kobiercach radzi wygodnie odpocząć. Chodzą pogłoski, że niektórzy z posłów (*podobno* spora grupa), niezadowoleni i zniecierpliwieni położeniem próżniaczem, wyczekującem, nad czemś radzą. Może! Wiem tylko, że kilku ludzi bardzo uczciwych usunęło się z parlamentu, uważając pobyt w Wiedniu za stratę czasu, że lepiej go poświęcić na pracę w kraju. Bardzo słusznie.

Krajom tym miota burza wewnętrzna na wszystkie strony i to właśnie w takich okolicznościach i warunkach, gdy według barometru politycznego, na widnokręgu powinien panować spokój. Rusini, którzy uzyskali wszystko, o czem ich ojcowie nie marzyli nawet, więcej, niż mają prawa, zdolności i umiejętności używania, prowadzą zupełnie hajdamacką kampanię, czołgając się przed jednymi i zuchwale wyciągając ręce po cudze zdobycze cywilizacyjne. Nieumiarkowani, niespokojni, niezadowoleni ze wszystkiego, bezwzględni w swoich dążeniach i czynnościach, są bowiem fermentem państwowym, który oprócz octu nic innego wytworzyć nie zdoła. Kto pragnie pozbyć się złudzeń ogólno-ludzkich i cywilizacyjnych na punkcie praw narodowych, niech kilka lat pomieszka w Galicyi, pozna dokładnie Rusinów i tak zwaną u nich „pracę.“ Przekona się, że jest to naród, ogładzony z wierzchu kulturą szkolną, a w gruncie rzeczy posiadający wszystkie instynkty społeczeństw pierwotnych, których cała niezdatność do życia państwowego wówczas dopiero okazuje się, gdy mają prawo używania tego życia. Hałasy ich, roszczenia, żądania są bez granic rozumnych i świadomych, tak samo jak bezgraniczna jest ich pokora i służalstwo.

Ks. Stojałowski gotów tych, których kocha, do piekła prowadzić, byleby mu złożyli pieniądze na drogę; socyaliści galicyjscy dopomagają Niemcom do zwycięstw; stronnictwo ludowe słabe, wątłe i chwiejne, ale przynajmniej czysto narodowe. W każdym jednak z tych odłamów politycznych wre i kipi, każdy mówi i pisze, każdy radby wszystkich pociągnąć za sobą, stąd walka na słowa i na myśli, na słowa brutalne, na myśli błahe, małe, egoistyczne, samolubne. W obecnej chwili odbywa się wybór uzupełniający na posła z małych posiadłości do Rady państwa. Stronnictwo ludowe postawiło kandydaturę Stapińskiego. Kwalifikacye jego są bardzo małe, ale jest to przynajmniej człowiek uczciwy, który ani siebie ani innych nie sprzeda. Chęć jednak wyniesienia się powoduje go do kokietowania z Rusinami, którzy otwarcie mówią, że wolą swego — watażkę. Kontrkandydatem jest p. Lewicki. Co on za jeden? Jakie dał dowody, że potrafi służyć na wysokiem stanowisku poważnie i rozumnie? Jakie jego zasługi? Wstyd powiedzieć, a jednak o to nikt nie pyta. I doprawdy godny to litości kraj, gdzie Danieluki, Kozakiewicze, Lewiccy, Stojałowscy i im podobni reprezentują jego godność i interesy. P. Lewicki jest niczem. Jako student wygłosił wyuczoną na pamięć mowę na pogrzebie Mickiewicza (w Krakowie) i teraz na zapytanie, co to za jeden, nikt nie umie znaleźć innej odpowiedzi, jak tylko: to ten, co mówił na pogrzebie Mickiewicza. Prawda, płaszcz Mickiewicza—królewski; mogą go trzymać się najdostojniejsi z chwałą, ale w fałdach jego i najpospolitsza pchełka znajdzie schronienie. Otóż dzisiaj ten pan, nieznający ani dziejów własnych, ani ekonomii i statystyki kraju, pół psa, pół kozy, staje przed ludem ciemnym, kłamie przed nim, że jest Rusinem, tak samo jak kłamał przed szczątkami Mickiewicza, że jest Polakiem i oświadcza się za — podziałem Galicyi, byleby tylko zdobyć krzesło obok mistrzów swoich, Stojałowskiego i Wolffa.

Ten smutny dramat narodowy, odgrywany przez pachołków, rozsnuto na jakiemś tle niejasnem, niepewnem. Raz błysną w dali płomyki krwawe, to znowu mgła jakaś zakryje wszystko. W Gracu, w prastarem mieście słowiańskiem, garstka ludności niemieckiej, złożona z kupców, mieszczan, urzędników i studentów, zwraca się w stronę Niemiec i wykrzykuje: Heil Germania! Na Węgrzech, gdzie rząd nie chce przeprowadzić ugody, a pra-

gnie rządów absolutnych w Przedlitawii, obchodzą uroczyście jubileusz 50-letniego panowania Franciszka Józefa. W Przemyślu aresztują oficera, Czecha, i osadzają w więzieniu za to, że nie chce powiedzieć po niemiecku, przy kontroli „hier,“ lecz odpowiada po czesku: „zde.“ W Radzie państwa młodoczech Forzt, poseł czeski, oświadcza wyraźnie, że uspokojenie państwa wtedy dopiero będzie możebne, gdy nastąpi ustrój federalistyczny. Gdzież koniec temu wszystkiemu i jaki?

Cho.

Z NIEMIEC.

Berlin, 14 czerwca.

Akademia paryska nauk w początku stulecia bieżącego ogłosiła konkurs na najlepszą pracę, któraby wskazała probierz naukowy, na którego zasadzie moglibyśmy rozróżniać stany snu i jawu. Pomimo iż w życiu praktycznem załatwiamy się bez trudności z tem zagadnieniem, nikt nie odważył się podjąć rozstrzygnięcia jego w sposób naukowy. Konkurs nie przyniósł akademii ani jednej rozprawy. Jestem atoli przekonany, iż w razie gdyby wówczas żył którykolwiek ze współczesnych ministrów pruskich, nadeszłoby kilka odpowiedzi z Berlina z urzędową pieczęcią jednego z wydziałów pruskiego ministeryum stanu. Przedstawicielom bowiem rządu pruskiego wydaje się, iż wszystko w świecie jest już rozwiązane, że wystarczy wypowiedzieć kilka frazesów, aż do mdłości utartych, aby rozproszyć wszelkie wątpliwości, gnieżdżące się w umysłach „nieoświeconego tłumu,“ wystarczy z za stołu rządowego w sejmie wygłosić mówkę, upstrzyć ją dowcipami i ciętymi wyrazami, aby pogrzebać na wieki wieków wszystkie „kwestye.“ Przed zamknięciem sejmu pruskiego minister oświaty, Bosse, wprawił w zdumienie słuchaczów, wystąpiwszy na arenie publicznej w przedpotopowym rynsztunku ideowym do walki z prądami czasu. Pierwszy lepszy kancelista z zaścianka, zaśniedziały biurokrata, wykazałby większe zrozumienie dążeń wieku, niż jego ekscelencya. W sejmie pruskim odłam wolnomyślny zagadnął ministra w sprawie odmowy, danej wrocławskiej radzie miejskiej, która zamierzała założyć gimnazyum żeńskie, aby w ten sposób ułatwić kobietom wstęp do uniwersytetu. Minister, jako dżentelmen w każdym calu, z namaszczeniem i galanteryą wyraził się o powołaniu kobiety, którą Pan Bóg stworzył po to, aby była towarzyszką męża. Wmyśl tej wzniosłej zasady pensye wyższe hodują gąski, które nigdy nie zarażą się nienaturalnym dla kobiety pociągiem do nauki. Minister zapomniał widocznie zajrzeć do statystyki niemieckiej, która nas poucza, iż 40% kobiet niemieckich pozostaje na koszu staropanieńskim. Trudno więc dzisiaj mówić o małżeństwie, jako regule powszechnej, znającej tylko nieliczne wyjątki. Przeszło 4 miliony kobiet utrzymuje się w Niemczech z własnej pracy. Ażeby zaś raz na zawsze ośmieszyć roszczenia niewiast, porywających się do samodzielności i studyów, mówca powołał się na kanclerza, który wydał wyrok potępiający emancypacyę kobiet na tej zasadzie, iż kto nie ponosi ciężarów wojskowych, nie może rościć sobie pretensyj do równouprawnienia politycznego.

Oczywiście minister, zapędziwszy się w swej obronie starzyzny zagrożonej, zapomniał objaśnić słuchaczów, kiedy nastąpi pozbawienie praw cywilnych owych milionów mężczyzn, którzy nie są zdolni do służby wojskowej. Mowę ministra oklaskiwali pełnomocnicy narodu nadzwyczaj gorąco. Posłowie z centrum zwrócili uwagę wysokiego sejmu, iż kobietom zbywa na logice, grzechem jest przeto popierać ich studya, jakkolwiek zwyczajny śmiertelnik mógłby z tej samej przesłanki wyprowadzić wniosek o konieczności szkół wyższych, które zaszczepiłyby w mózgach kobiecych zasady logiki i przyzwyczajałyby je do pracy naukowej. Lecz dajmy spokój krytyce i zobaczmy, co niewiasty odpowiedziały na zarzuty szanownych posłów. Z inicyatywy studentki prawa, panny Augspurg, zebrały się przed tygodniem kobiety berlińskie, aby dać należytą odprawę sejmowi za jego taktowne i delikatne wystąpienie w sprawie kobiecej.

Minister — woła panna Augspurg — wzywał do obrony zagrożonych dóbr idealnych narodu. A więc głupota, ograniczoność i wykształcenie połowiczne mają należeć również do tych idealnych zdobyczy przeszłości. Biada mężom stanu, wyznającym podobne niedorzeczności staroświeckie. Minister nie proteguje studyów, gdyż wycieńczają zdrowie. Szkoda, że taką samą pieczołowitością nie otacza męzkiej połowy ludności. Wreszcie ogrodził siebie argumentem, że statuty uniwersyteckie są nietykalną świętością. „Also sprach Bosse“ — ten sam, co oddał niedawno nauczycieli wszechnic pod kuratelę prawomyślności na zasadzie lex Arons.— Panna Erdmann słusznie podkreśliła, iż nawet ze stanowiska ministra, rozczulającego się nad misyą towarzyszki życia, trzeba się starać, aby zrównać kobietę z mężczyzną pod względem umysłowym, gdyż różnica w wykształceniu małżonków powoduje nieporozumienia i zatruwa wspólne pożycie. Panna Helena Stöcker ubolewała nad ignorancyą ministwa, który przypuszcza, iż tylko pozbawione widoków na małżeństwo szukają schronienia i pociechy w studyach. Kobiety chcą się uczyć, aby nie prowadzić życia wegetacyjnego półgłówków, zwanych pannami na wydaniu. Zerwawszy kajdany niewolnictwa, wolają o prawa człowieka, który chce brać udział w radościach i cierpieniach pokolenia współczesnego. Ta wyzwolona duchem istota nie da się pomiatać i nie pozwoli dyktować sobie przepisów, według których ma urabiać swój umysł, aby podobać się mężczyznie. Państwo, które zaopatruje prostytutki w świadectwa, niech nie tamuje kroków kobiecty, stawiającej sobie cele poważne. Pani Stritt z Drezna, znana założycielka biura obrony prawnej dla kobiet, wychłostała niemiłosiernie posłów, którzy swymśmiechem i dowcipami głupimi złożyli przed społeczeństwem dowody nieudolności.

Wśród nieopisanego zapału zgromadzenia panna Augspurg odczytała rezolucyę, protestującą przeciwko postępowaniu sejmu. Jakiś nauczyciel powziął nieszczęśliwą myśl zabrania w sporach głosu, aby oczyścić ministra od zarzutów, przyczem oświadczył, iż energiczne napaści bojowniczek wpoiły mu szacunek dla orędowniczek sprawy kobiecej. Przeczuwając w ruchu kobiecym siłę, posłowie sejmu uskarżali się, iż kobiety mają odwagę występować w życiu społecznem jako mówczynie. Nieszczęśliwemu poplecznikowi ministra powiodło się nieszczególnie, gdyż głośny śmiech zagłuszył najcenniejsze jego efekty oratorskie. Jak widzimy, kobiety w Niemczech, kraju klasycznym sentymentalnych Małgoś, nie zasypiają gruszek w popiele i korzystają z każdej okazyi, aby pociągnąć opinię publiczną na swą stronę. Zrozumiały one, iż prawa swe mogą uzyskać w boju, porzuciły iluzyę o idylicznym stosunku mężczyzny do kobiety, o solidarności ich interesów, w którą tak święcie wierzyli przodkowie nasi. Mały wypadek pysznie zilustrował czczość poglądów, wygłaszanych przez wyznawców tradycyi.

W niemieckich koloniach afrykańskich zabrakło kobiet. Zaczęto agitować i radzić ze wszystkich stron, a między innymi major Lentwein zamieścił w postępowem piśmie kobiecem odezwę, apelującą do patryotycznych serc niewieścich. Syn Marsa oznajmia, iż płeć brzydka da wszystkiemu radę, nie może atoli podjąć się wychowania dzieci. Możemy przypuścić, iż pan major miał na myśli dzieci... przyszłe. Owinął więc w bawełnę sprawę dość drażliwą. Idzie wprost o wwóz żon i zapełnienie rynku małżeńskiego w Afryce. „Stowarzyszenie afrykańskie“ bierze koszty transportu kobiet na siebie, bez różnicy powierzchowności i wieku. Major przytem rysuje aspirantkom nęcącą perspektywę życia, pełnego rozrywek pod niebem afrykańskiem i przysięga uroczyście, iż kobieta posiada „wolność wyboru,“ będzie mogła kierować się upodobaniami i zachciankami własnego serca. Sęk atoli w tem, iż pan major nie wyjaśnił szczegółowiej swej cudnej „wolności wyboru.“ Czyż kobieta, wysadzona na ląd afrykański kosztem stowarzyszenia, jest obowiązana koniecznie wyjść za mąż, czy też może ślubować celibat w razie jeśli żaden z kulturtrogerów nie uzyska jej serca? A w razie wyjścia za mąż czyż nie dostanie się z deszczu pod rynnę, gdyż tu w kraju, gdzie nie wymarła tradycya Petersów i Weblanów, gdzie kwitnie kult chłosty i niczem nieskrępowanej brutalności, stanie się może jucznem bydłem i niewolnicą, pracującą na swego pana. W swoim czasie filozof nicości, Hartmann, proponował opodatkowanie starych kawalerów, aby z otrzymanego funduszu utworzyć posagi dla starych panien. Możeby zamiast tego, ministeryum pruskie postanowiło bezpłatnie przewozić stare panny do kolonij afrykańskich, o ileby podpisały rewers, iż obowiązują się w przeciągu dwu lat zostać dozgonną towarzyszką któregokolwiek lejtnanta. Mielibyśmy sposobność sprawdzić słuszność twierdzenia ministra Bossego, że tylko staropanieństwo wytworzyło ruch kobiecy.

H. F.

CELE DZIAŁALNOŚCI LUDZKIEJ.

II.

Tysiączne fakty świadczą o niezgodności przyrody ludzkiej z naszą o niej świadomością. Różnica ta zasługuje na jak najgłębszą naszą uwagę pod względem teoretycznym i praktycznym. Pod pierwszym jest ona ważną jako dowód, że w wiadomościach naszych o przyrodzie ludzkiej czegoś brak, że są one powierzchowne i niepełne; pod ostatnim — z powodu, iż oczekiwania i cele nasze mogą i muszą być inne, aniżeliśmy jedne mieli, a drugie stawili sobie dotychczas.

Chodzi o to: czy jest wszakże podobna stała miara, czy być nawet może i jaka?

Dla wyjaśnienia tych pytań należy się zastanowić nad kilkoma kwestyami.

Przedewszystkiem uwzględnić należy *indywidualne fizyczne cechy ludzkie*, gdyż jakkolwiek antropologia fizyczna i psychofizyka stoją bardzo wysoko we względzie naukowym, wiele jednakże szczegółów domaga się jeszcze swego rozwiązania. Na pierwszem miejscu stoi sprawa odmian rasowych, pociągających za sobą mnóstwo różnic pomiędzy ludźmi, a że różnice te dotyczą budowy, połączone są przeto z funkcyonalnemi, dającemi początek odmiennym potrzebom, upodobaniom, uczuciom, usposobieniom i przekonaniom, czyli wogóle powien mniej „więcej stały kierunek uwadze. Dążenie do celu wymaga, jeśli było ono możliwie stałe, nietracenia go z widoku, tymczasem wiadomą

jest powszechnie rzeczą, że przeciętny człowiek jest wogóle słabo uzdolniony do skupiania się w sobie, do refleksyi. Tak go zaprzątają wrażenia zewnętrzne i wypływające stąd chwilowe, coraz to inne interesy, że rozpocząwszy swoją działalność w pewnym kierunku, po tysiąc razy zbacza już nietylko z raz wytkniętej przez się drogi, ale nawet z każdej późniejszej, okolicznościowej, zależnej od coraz nowych warunków życia. Zamiary nasze wobec każdego ważniejszego wypadku w życiu ciągle się zmieniają. Często gorąco pożądamy dziś tego, co wczoraj jeszcze budziło w nas wstręt. A dawniejsze upodobania wydają nam się później tak dalece dziwne, jakby to wcale nie o nas samych chodziło. Przekonania odgrywają w tym procesie najpodrzędniejszą rolę, służąc tylko do usprawiedliwienia wszelkich naszych postępków, które, gdyby były nawet najniedorzeczniejsze, nabierają w oczach naszych bezwzględnej wartości i słuszności.

Przeciętny człowiek żyje przeważnie wrażeniami zewnętrznemi, śledząc je pilnie, jak znana małpa Darwina przelatujące muchy, która posiada nadzwyczaj ubogą treść umysłową i nie ma żadnych stałych zamiarów. Pomimo, że wiemy o tem skądinąd, jakie są jej procesy umysłowe, wydaje się nam ona bardziej maszyną, według rozumienia Condillaca, aniżeli istotą posiadającą zdolność rozumowania. Większość ludzi nie o wiele stoi wyżej od tej normy, wskutek czego kwestya celów istot podobnych staje się bardzo poważną. Śledzić przemiany zewnętrzne, czyli żyć wrażeniami, nie jest to jeszcze bynajmniej nie mieć żadnych celów. Owszem, celem w tym razie jest przy ciągłej wiadomości o przemianach zewnętrznych, chęć zastosowania się do nich w jak najlepszy sposób. Bez podobnej baczności niemożliwem byłoby samo istnienie człowieka. Jest tedy ten stan użytecznym. Działanie prawa współzależności psychologicznej, polega na tem, że co zdobywa jedna czynność, to traci druga; co zyskuje myśl, stracone jest dla ruchów *) i odwrotnie, więc przy usiłowaniu zastosowania się do zewnętrzności, tj. przy ruchliwości koniecznej w tym celu, musi tracić na tem świadomość, czyli właściwie to, co nas obecnie najwięcej interesuje, świadome cele działalności ludzkiej.

Od stopnia tedy uwagi, którą możemy skierowywać wewnątrz, lub zewnątrz siebie, zależy sama możliwość działalności człowieka, w dążeniu do pewnych celów. Widzimy stąd, iż jest pewien kres tej uwagi, którego człowiek przekroczyć nie może Wyczerpanie jej jest nader ważnym warunkiem, bardziej fizycznym, aniżeli moralnym. Zbyt długie oczekiwanie na pożądane skutki naszych zabiegów wyczerpuje zazwyczaj naszą cierpliwość do tego stopnia, że gotowiśmy nawet zaniechać rozpoczętej pracy w obec tego, że nie widzimy prędkiego a spodziewanego jej końca, tem bardziej, jeżeli do ostatecznego rezultatu możemy dojść w inny sposób. Te to „inne sposoby“ zmuszają nas najczęściej zbaczać z zamierzonej drogi, na którą zwykliśmy wstępować po dojrzałem rozstrzygnięciu pytania, co winniśmy robić dla osiągnięcia swoich celów.

Nie popełnię tu, zdaje mi się, osobliwszego błędu, jeżeli przypuszczę, że ogromna większość ludzi, której procentu oznaczyć niepodobna, daleko jest bliższa do człowieka — maszyny, aniżeli do świadomych istot, jakeśmy je sobie wyidealizowali i jakie uważamy za rzeczywiście już istniejące. Psychiczna treść człowieka przeciętnego składa się z mnóstwa instynktów odziedziczonych po przodkach ze znacznej liczby czynności odruchomych, powstających na drodze naśladowania innych wskutek uległości naszej do poddawania się hypnotycznego oraz z kilku zaledwie lub kilkunastu samoistnych pojęć.

*) Ribot: *Choroby woli*, Warszawa, 1885, str. 126.

Wskutek tego cele, jakie może sobie stawić tego rodzaju człowiek, a jest ich miliony, muszą być tak proste, bo tylko fizyczne, i tak zarazem chaotyczne, bo przeważnie osobiste, chociaż w zasadzie z sobą zgodne (jeść, pić itd.), że osiągnięcie ich może stwarzać tylko zatargi na drodze walki o byt pomiędzy jednostkami. Po za obrębem zaspakajania własnych pierwszych potrzeb fizycznych nic dla nich innego nie istnieje. W tym kierunkuześrodkowana jest cała ludzka uwaga. Tu wytrwałość w dążeniu do celów jest niezmordowana. Ponieważ zaś każda istota ludzka jest przedewszystkiem członkiem społeczeństwa, a nie sobą tylko, przeto obraz powyższy stosuje się do wszystkich bez wyjątku istot ludzkich, pomimo iż niektóre z nich są różne od innych. Powyższe cechy, jakkolwiek mogą się wydawać ujemnemi z pewnego wyidealizowanego stanowiska, są przecież bardzo ważne i mają swój wysoce dodatni, pożądany charakter. Należy tylko pamiętać, że muszą być koniecznie punkty styczności interesów między wszystkiemi jednostkami, tworzącemi społeczeństwo. Tymi punktami są właściwe wspólne ludziom bodaj najbardziej poziome i pospolite potrzeby, które ich łączą w pewną całość, względem których możliwo jest nieporozumienie, ale możliwą jest i zgoda. Gdyby tego nie było, nie byłoby żadnej pomiędzy ludźmi pierwotnymi łączności.

Względne lub bezwzględne podobieństwo do siebie jednostek może być celem ludzkich dążeń, ale nigdy nie może być środkiem do tego celu. Rozmaitość usposobień i pragnień jest koniecznością, jako ciągle istniejąca i nieustannie stosowana miara ich wartości przez porównanie. Środek między ostatecznościami stanowi normę.

(D. n.)

Feliks Bogacki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Gospodarka gmin.

Echa płockie i łomżyńskie naszkicowały znamienny obraz stosunków wiejskich, który świadczy, jak dalece interesy ludności cierpią na wadliwej gospodarce. Jak wiadomo w gminachześrodkowują się interesy mieszkańców wsi. Od niejakiego czasu na każdem zebraniu władze gminne żądają sporządzania nowych ksiąg ludności w dwu egzemplarzach dla gminy i powiatu, co robią z polecenia władzy zwierzchniczej. Czem są księgi ludności i czem być powinny dla mieszkańców gminy i państwa? Naturalnie wiernym obrazem stanu zaludnienia. W gminie Lelice jest stan taki: w 1890 r. ustanowiony był podatek na szpitale warszawskie w stosunku ludności gminy. Gmina opłacała według tego (zapewne obliczenie było brane z ksiąg ludności) 68 rs. 93 kop. Po dopełnionym spisie jednodniowym, wskutek reklamacyi gminy, podatek ten zniżono o 20 rs., to jest prawie część, a przecież w tym czasie żadna epidemia ani emigracya nie grasowała, gmina jednakże w ciągu lat siedmiu nadpłaciła 140 rs. Wina to pewnie ksiąg ludności, starych lub źle prowadzonych. Otóż w rzeczonej gminie od 1875 r. sprawiano już cztery serye ksiąg, a każda kosztuje paręset rubli, mianowicie w r. 1875, 1880, 1891 i 1897. Sprawianie takich ksiąg i założenie ich kosztuje każdą gminę od 400 do 600 rs. i więcej. Zapewne książki były zapisane. Po rewizyi ich okazuje się, iż w każdym egzemplarzu książki dla jednej wsi, stosunek użytego papieru jest taki, że 100 arkuszy sprawionych, użyto — 30, a ze 300 arkuszy użyto — 100. Może zmieniono formę blankietów, lecz to niezawsze jest motywem do sprawiania ksiąg. Te niefortunne próby gmina musi opłacać paruset rublami, a na górze tworzą się stosy ksiąg porządnie oprawnych, służących następnie na makulaturę. Gmina przechodzi formalny kryzys, gdyż potrzeba zebrać dużo pieniędzy na sprawienie samych ksiąg, jak również na wynajęcie ludzi do napisania. Wójt i pisarz powiadają, iż to do nich nie należy. Niektórzy pisarze za osobnem wynagrodzeniem, wynoszącem paręset rubli, podejmują się tego. Świadomy rzeczy korespondent zauważył, iż w księgach można być nieśmiertelnym, bo jeżeli ktoś wyjedzie za paszportem sam, a chociażby z całą familią, która następnie wymiera, to zmarli członkowie rodziny pozostaną w księgach nazawsze, gdyż gmina nie może ich wykreślić z książek. To samo dzieje się z urodzonymi, a wobec tego księgi nie są jasnym obrazem zaludnienia gminy i nigdy nie będą zadawalały władz administracyjnych. „Gminy wnoszą opłatę na utrzymanie urzędnika w powiecie do prowadzenia innych ksiąg tamże; należałoby się spodziewać, iż tam jest wierny obraz i doskonałe księgi, jednak z faktu przytoczonego wyżej o opłacie szpitalnej widać, że i tam są niedokładności.“

Dla kogo?

Zdawałoby się, że koleje żelazne są instytucyą oddaną na usługi publiczności i że wszelkie potrzeby ogółu powinny być w tej mierze nietylko zaspakajane, ale nawet przewidywane. Tak jest wszędzie na świecie; u nas zaś w rzeczywistości zupełnie odwrotnie. Publiczność jest całkiem zależna od kaprysów, fantazyi i niedołęztwa przedsiębiorstw kolejowych, zdana na ich łaskę i niełaskę. Gdy Europa i inne części świata, opanowane przez cywilizacyę i kulturę, urządzają wyścigi w udoskonaleniach i udogodnieniach dla publiczności, u nas w ostatnich szczególnie czasach, zarządy kolejowe po prostu wysilają się, ażeby dla tej publiczności wprowadzić możliwie najwięcej utrudnień i ograniczeń. Ponieważ istniała i istnieje pewna kategorya podróżnych, którzy jeżdżą, zwłaszcza w promieniu komunikacyi podmiejskiej, według taryfy samowolnej, stworzonej w porozumieniu ze służbą konduktorską, więc zarządy kolejowe, chcąc zamaskować swoje niedołęztwo i wadliwy system gospodarki, zniosły udogodnienia, dane uprzednio w postaci t zw. biletów sezonowych. Najpierw bilet na 10 lub 30 przejazdów, tańszy od zwykłych, służył nietylko dla posiadacza, lecz i towarzyszów podróży (najczęściej członków rodziny). Należało tylko uczynić szczypcami odpowiednią ilość znaków. Następnie wprowadzono ograniczenie: z biletu takiego korzystać może tylko jedna osoba, tj. jego posiadacz w ścisłem znaczeniu. Tym sposobem jeżeli ojciec rodziny jechał z kilku jej członkami, musiał dla nich kupować osobne bilety, droższe. Pozostał wszakże ten jedyny przywilej, że przynajmniej można było wsiadać do wagonu bez stemplowania biletów, co stanowiło ważny warunek dla tych, którym każda chwila jest droga.

W roku bieżącym i tę ulgę zniesiono. Każdy pasażer musi przyjeżdżać na stacyę przynajmniej o pół godziny wcześniej, niż dawniej, tłoczyć się, stać przy kasie długo i czekać kolejnego ostemplowania. Zdawałoby się, że już dosyć. Gdzie tam! Szykanowanie publiczności idzie dalej: Pomimo ostemplowania biletu przy kasie, każdy pasażer musi przejść przez kontrolę w drzwiach (do połowy tylko otwartych, jak na przejście jednego człowieka), prowadzących na platformę. To już ścisk nie do opisania; bójki, awantury, miażdżenie rzeczy lub uderzanie niemi w boki, plecy i głowy podróżnych. Ostatecznie cały gniew, cała irytacya skrupia się na nieszczęśliwej oficerze: konduktorze lub innym urzędniku, kontrolującym bilety we drzwiach, człowieku, który pod groźbą utraty posady jest tylko ścisłym wykonawcą woli swojej zwierzchności. Tłok ten nietylko naraża podróżnych na stratę czasu, rzeczy, portmonetek i zegarków, kradzionych w ścisku i zamieszaniu, lecz jeszcze ich dziatwę na kalectwo lub nawet utratę życia. I jeszcze nie dość tego. Zarządy kolejowe posuwają tak daleco swoje lekceważenie publiczności, że nawet nie raczą na miejscach widocznych, szczególnie przy kasach, wywieszać ostrzeżeń, iż nieostemplowanie biletu pociąga za sobą karę w stosunku ceny podwójnej (przejazdu w jedną stronę). Niestosowność podobnych przepisów i rozporządzeń, krępujących interesy ogółu, zaznaczaliśmy już kilkakrotnie. Nigdy wszakże tak wyraźnie nie ujawniały one systematycznego pogwałcania interesów ogółu, jak w powyższych skrępowaniach warunków komunikacyi podmiejskiej. Dla kogóż więc służą koleje żelazne?

Pomocnicy felczerów.

Sprawa polepszenia warunków pracy farmaceutów wysunęła na porządek dzienny inne kategorye ludzi wyzyskiwanych, przedewszystkiem zaś pomocników felczerskich. Jeden z nich za pośrednictwem *Wieku* tak odmalował obraz doli całej rzeszy: Tylko dwa razy do roku: w pierwsze święto Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy mają oni swobodę. Usiłowali podobno wyjednać pewne reformy w tej mierze, zwłaszcza że więcej tu chodzi o zmianę warunków pracy, niż zmniejszenie jej natężenia. Ludzie ci bowiem siedzą nieraz bezczynnie po kilkanaście godzin w dusznych izbach i norach. Zwierzchnicy jednak nie chcą im dać żadnej ulgi, powołując się na jakiś odwieczne paragrafy „zgromadzenia" o izbach felczerskich i twierdzą, że felczer zawsze musi być gotów do pomocy lekarskiej. Ale pracownicy felczerscy zapewniają, że wystarczyłyby najzupełniej dyżury, że każdy z nich bardzo chętnie ofiarowałby roczną składkę na rzecz pogotowia, gdyby tylko pryncypałowie zechcieli zamykać zakłady o godzinie 4-ej w święta i niedziele. Zdawałoby się, że najłatwiej tę sprawę przeprowadzić za pośrednictwem „zgromadzenia," ale ono, jak mówią pracownicy felczerscy, broni tylko interesów pryncypałów, ich zaś lekceważy zupełnie. „Mamy niby to „zgromadzenie" — skarży się jeden z nich — a jesteśmy zniewoleni przyjmować kondycye na ulicy lub w bramie domu. Mianowicie starszy zgromadzenia, p. Przybylski, stoi uporczywie na straży przestarzałych tradycyj i opornje zawzięcie przeciw każdej reformie. Większość stanów wywalczyła już sobie odpoczynek niedzielny, a nam wciąż święcą paragrafami o izbach felczerskich i ani na krok ustąpić nie chcą. Projekt zamykania zakładów o godz. 4 w niedziele i święta odzywał się już oddawna, ale pryncypałowie oglądali się wciąż jeden na drugiego i żaden nie chciał być pierwszym. Gdy zaś naresczie w tym roku niektórzy, jak pp. Truskolaski i Ruczyński, na własną rękę zapoczątkowali reformę, olbrzymia większość nie poszła w ich ślady, co więcej, okazało się, że inni korzystali z ich ustępstw. „Pracujemy 16 godzin dziennie i nadal pracować będziemy, ale niechże nam przynajmniej pozwolą w święta służyć Panu Bogu i odpocząć trochę. Dochody nasze są tak mizerne, że wyżyć prawie niepodobna, a w dodatku — to więzienie. Przez godzin pięć bywa czasem dwu gości po ogolenie i dla tych kilku kopiejek trzymają trzech ludzi na uwięzi. To psie życie i nikt się za nami nie ujmie. Zresztą, wśród nas samych niema solidarności. Wielu subjektów ma żony i dzieci, więc boją się protestować, aby miejsca nie stracić."

Kursy piwowarstwa.

Przed kilku laty właściciele gorzelni i zakładów rektyfikacyjnych poruszyli sprawę założenia szkoły gorzelniczej. Wszyscy oni uznali potrzebę takiego zakładu, jako środka wzmocnienia produkcyi za pomocą dobrze uzdolnionych sił fachowych. Gdy jednak przyszło do kwestyi bardzo drażliwej, zebrania funduszów odpowiednich, wszyscy dyskretnie zamilkli i o szkole gorzelniczej już więcej nie mówiono. Piwowarzy pod tym względem ujawnili większą dojrzałość, bo chociaż długo radzili i namyślali się, postanowili wszakże założyć kursy piwowarstwa, które już w miesiącu bieżącym będą otwarte przy oddziale chemicznym niższej szkoły technicznej p. Świecimskiego (Składowa nr. 3). Uczniom uczęszczającym na te kursy, corocznie w okresie trzymiesięcznym, udzielane będą: wiadomości praktyczne w zastosowaniu do piwowarstwa: z botaniki, chemii, fizyki i mechaniki; technologii piwa i rachunkowości browarnej; wskazówki o doraźnej pomocy w nagłych wypadkach z ludźmi i o właściwem obchodzeniu się z końmi. Hodowla drożdży czystych i kontrola przemysłu piwowarskiego; wyjaśnienie przepisów akcyzowych i fabrycznych. Nadto program obejmuje: zwiedzanie wybitniejszych urządzeń browarnych, w połączeniu z objaśnieniami, udzielanemi przez specyalistów. Na kursy zapisywani będą piwowarscy uczniowie majstrów, należących do zgromadzenia warszawskiego (pracują oni w browarach całego kraju); kandydaci do wyzwolin na czeladników, wreszcie majstrowie, na osobiste żądanie. Opłata (stosunkowo dość wysoka) za kurs trzymiesięczny wynosić ma rs. 50. „Przypuszczalnie" jednak powien „niewielki" procent uczniów korzystać będzie z „niejakich" ulg, bądź w zniżeniu płacy, bądź w „wyjątkowem" od niej zwolnieniu. Funduszu na założenie pracowni doświadczalnej dostarczył cech z kasy majstrów rs. 300, z kasy zaś czeladniczej wpłynęło również rs. 300. Fundusz gwarancyjny na opłacenie lokalu, utrzymanie pracowni i pensyą kierowników, zapewnili członkowie delegacyi piwowarskiej, o ile tych wydatków nie pokryją opłaty uczniów. Po za kursami trzymiesięcznymi istnieć będzie stacya doświadczalna dla przemysłu piwowarskiego, w której za opłatą stosowną będzie dokonywana ocena wartości i dobroci produktów piwowarskich. Dla członków delegacyi oraz dla osób postronnych, wnoszących pewne stałe opłaty roczne, taksa będzie znacznie zniżona. Kierownikiem ogólnym pracowni doświadczalnej i kursów praktycznych będzie p. Kazimierz Kujawski, kandydat nauk przyrodniczych uniwersytetu warszawskiego. Jakkolwiek kursy na razie mogą mieć pewne usterki i niedokładności, są jednak ważnym krokiem na drodze postępu produkcyi i mają znaczenie nietylko dla przedsiębiorców. Pracownicy piwowarscy, zdobywszy pewne uzdolnienia drogą nauki systematycznej, zwiększą intenzywność swej pracy, a więc i jej wartość materyalną.

BADANIA NAUKOWE.

POCZĄTEK ZAKAZÓW MAŁŻEŃSKICH.

Badacze, zajmujący się rodowodem urządzeń społecznych, niejednokrotnie zastanawiali się nad początkiem zakazów co do zawierania małżeństw pomiędzy osobami, znajdującemi się w bliskiem pokrewieństwie. Usiłowano je wytłomaczyć tem, że obcowanie małżeńskie krewniaków działa ujemnie na zdrowie potomków, fizyczne i duchowe, że dzieci, przychodzące na świat w takich stadłach, odznaczają się wadami organicznemi i dostarczają bardzo wielkiego procentu kalek. Studya antropologiczne tylko częściowo potwierdziły to przypuszczenie, zresztą jest ono względnie niedawnego pochodzenia. Powstało dopiero około wieku XVII w formie niewyraźnej i chwiejnej; ci, którzy wcześniej zajmowali się tem zagadnieniem, podawali najrozmaitsze przyczyny, lecz nigdy nie powołują się na skutki fizyczne małżeństw pomiędzy blizkimi krewniakami. Luter np. oświadcza, że gdyby pozwolono się łączyć związkiem małżeńskim osobom tej samej krwi, zawieranoby śluby bez przywiązania, tylko z celem utrzymania w całości majątku ojcowskiego. Monteskiusz, który o wiele później pisał o tym przedmiocie, nawet nie przypuszcza istnienia jakichkolwiek pobudek, związanych ze stroną fizyczną potomków. Niektórzy z socyologów, powołując się na tego rodzaju fakty, starają się udowodnić, że tem bardziej w okresach pierwotniejszych nie mogło być świadomości o ujemnych skutkach kazirodztwa i że zakazy wypłynęły ze zgoła odmiennego źródła. Inni idą jeszcze dalej. Wskazują oni to, że krzyżowanie wsobne, *in and in*, jest bronią obosieczną, dającą rezultaty bardzo odmienne w zależności od zalet lub wad małżonków; zawsze bowiem potęguje to, co jest im wspólne: drobne wady organiczne zamienia na kalectwa potworne, natomiast wzmacnia strony dodatnie. Gdyby więc wiadomość o skutkach organicznych małżeństwa kazirodczego istniała, może zakazywanoby takich związków w pewnych przypadkach, lecz tolerowanoby je i nawet zalecano w innych. Wyniki studyów antropologicznych, wykazujące taką dwuznaczność obcowania pomiędzy blizkimi krewniakami, podważyły bardzo dawne tłomaczenie powstania zakazów i zmusiły badaczów poszukiwać je gdzieindziej, nie zaś w świadomości o ujemnem działaniu na zdrowie potomków. Nasze zwyczaje i zapatrywania stanowią jedynie ostatnie w czasie ogniwo prastarych praktyk, które ażeby zrozumieć, trzeba się cofnąć do dalekiej przeszłości. Prawie wszyscy socyologowie, którzy w ostatnich czasach próbowali wyjaśnić początki zakazów, hołdują temu poglądowi. Ich zdaniem, źródła badanych zwyczajów należy poszukiwać w najodleglejszej epoce dziejów rodu ludzkiego, przyczem pobudki, które tam działały, nie a nic nie mają wspólnego z zapatrywaniami naszej doby. Emil Durkheim, jeden z ostatnich, którzy zajmowali się tą kwestyą, pisze: „Pytanie, dlaczego większość społeczeństw zakazała związki kazirodcze i nawet umieściła je w liczbie czynów najniemoralniejszych, było często podejmowane, acz dotychczas nie otrzymano żadnego rozwiązania. Przyczyn takiego

*) *La prohibition de l'inceste et ses origines.*

niepowodzenia należy może upatrywać w metodzie, której trzymano się podczas poszukiwań. Wychodzono z założenia, iż zakazy wypływają ze źródła jeszcze i obecnie istniejącego — z pewnego stanu, właściwego naturze ludzkiej lub społeczeństwu. Szukano przyczyny w teraźniejszych właściwościach życia, mniejsza czy indywidualnego lub gromadnego. Otóż na zagadnienie, w taki sposób postawione, niepodobna było dać odpowiedzi, wierzenia bowiem i zwyczaje, które uchodzą za najwłaściwsze do wyjaśnienia i usprawiedliwienia naszego wstrętu względem związków kazirodczych, same wymagają wytłomaczenia, zależąc od pobudek i potrzeb, z których powstały w przeszłości."

E. Durkheim z tego powodu przenosi pytanie w czasy możliwie najodleglejsze życia gromadnego, o których posiadamy materyał faktyczny. Czytelnik, obeznany z metodami etnologii i socyologii porównawczej, domyśla się, że ludy obecne dzikie będą przedstawicielami tej epoki najdawniejszej. Zachowały one w teraźniejszości zwyczaje i zapatrywania, które charakteryzowały naszych dalekich przodków, gdy ci znajdowali się w takiej samej fazie rozwoju. Cofnąwszy się w taką przeszłość, dokładniej: w taką dzikość, socyolog francuski dostrzega tam powszechnie obyczaj eksogamii, związany z klanowym ustrojem więzi społecznej.

Plemię rozpada się na pewną liczbę grup, „klanów," polegających na tem, że członkom takiej jednostki gromadnej nie wolno zawierać związków małżeńskich pod groźbą kar doczesnych i zaziemskich. Osoby, należące do jednego klanu, są „z tego samego mięsa"; wyprowadzają się one od jednego przodka i chociaż w naszem rozumieniu niema nieraz pomiędzy niemi faktycznego pokrewieństwa, przecież wszelki stosunek małżeński wewnątrz takiej grupy bywa poczytany za kazirodztwo. Każdy klan jest więc eksogamiczny, to znaczy mężczyźni jego wstępują w małżeństwo z kobietami skądinąd, kobiety zaś wychodzą za mąż za obcoklanowców. *Społeczeństwo pierwotne* Morgana przedstawia nam obrazy właśnie takiej więzi społecznej. Zakazy zawierania związku małżeńskiego obejmują u nas pewną liczbę osób, znajdujących się w określonych stopniach pokrewieństwa, tam—całą grupę społeczną, której członkowie faktycznie nie zdołaliby wykazać wspólnej krwi. Treść kazirodztwa jest u nas i u ludzi pierwotnych odmienna. O pojęciach dzikiego otrzymalibyśmy jakiekolwiek wyobrażenie, gdybyśmy zakazom wstępowania w związki małżeńskie objęli wszystkie rodziny, pieczętujące się np. Nałęczem lub Toporem.

Nastręcza się pytanie, jakim sposobem taka eksogamia klanowa mogła powstać. Usiłowano kilkakrotnie rozwiązać to zagadnienie. Jedni wyjaśniali początek zakazów, wychodząc z właściwości uczuciowych i myślowych natury ludzkiej, inni badacze poszukiwali tłomaczenia w organizacyi, właściwej społeczeństwu pierwotnemu. W liczbie tych ostatnich spotykamy nazwiska Lubbocka, Spencera i Mac Lennana, natomiast Morgan, Westermarck i in. szukają rozwiązania zagadki w czynnikach subjektywnych. Do tłomaczeń dotychczasowych przybywa obecnie nowa próba, Emila Durkheima.

Według Mac Lennana, systematyczne mordowanie niemowląt płci żeńskiej przez szczepy dzikie dało początek zwyczajowi szukania żony po za własną grupą społeczną. w niej bowiem z powodu takiej praktyki brakło zawsze kobiet i trzeba je było brać z zewnątrz. Taki zwyczaj ustalił się i stworzył klany eksogamiczne. Lubbock mniema, że działała tam inna pobudka — chęć indywidualnego rozporządzania kobietą. Horda pierwotna żyła w bezładzie małżeńskim, wyodrębnione stadło małżeńskie było tam zamachem na prawa ogółu mężczyzn. Tylko kobieta, sprowadzona z zewnątrz, była wyjętą z pod zasady komunizmu i stanowiła wyłączną własność mężczyzny. Wypadki takie z pojedynczych stały się z biegiem czasu powszechnymi, wyrugowały dawne obcowanie komunalne i utrwaliły małżeństwo parzyste lub polygamiczne. Spencer podziela zdanie Lubbocka, cała różnica pomiędzy nimi polega na tem, że gdy tylko co wymieniony pisarz każe mężczyźnie dążyć do związku indywidualnego z przyczyn fizyologicznych, natomiast autor *Filozofii syntetycznej* wyprowadza na widownię działanie ambicyi wojennej. Zwycięzca przywłaszczał sobie brankę, posiadanie jej było dowodem męztwa; ci zaś, którzy nie mieli takich żon, uchodzili za tchórzów. Wszyscy trzej pisarze wyprowadzają więc zakazy pierwotne małżeńskie, ujawniające się w eksogamii klanowej, z przyczyn przedmiotowych: działała tam nie świadomość o szkodliwości związku małżeńskiego, ale powody zgoła odmienne i takie tłomaczenie powstało dopiero później, gdy zakazy już istniały i wżarły się w życie społeczne ludzkości. Zresztą dodać winniśmy, że żadne z tych wyjaśnień nie utrzymało się w nauce, wszystko to są dzisiaj teorye przebrzmiałe, dla których zachowało się miejsce tylko w historyi doktryn socyologicznych.

Natomiast teorye Morgana i Westermarcka co do początku zakazów małżeńskich odznaczają się większą żywotnością. Wybitny badacz amerykański broni założenia, iż zakazy zjawiły się jako następstwo zupełnie jasnego uświadamiania ujemnych następstw związku pomiędzy osobami tej samej krwi. Westermarck natomiast przypisuje eksogamię działaniu pewnego nieokreślonego wstydu obcowania małżeńskiego z kobietami tej samej grupy miejscowej.

Żadne z tych tłomaczeń nie zadawala Durkheima. Zbliża on zakazy małżeńskie ze zwyczajem *tabu*, powszechnie istniejącym u ludów pierwotnych — niedotykania i unikania tego, co jest świętością. „Obie płcie — pisze on — unikają siebie nawzajem z taką samą troskliwością, z jaką profan —świętości. wszelkie przełamanie tej zasady wywołuje uczucie obawy, niczem nieróżniącej się od niepokoju, ogarniającego w razie nadwerężenia *tabu*. Ten fakt winien wykazać religijno pochodzenie uczuć, będących źródłem eksogamii. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest ona związana z charakterem świętości, właściwym jednej z płci; ta okoliczność stworzyła przepaść pomiędzy mężczyzną i kobietą." Takiem jest zasadnicze założenie socyologa francuskiego. Chodzi tylko o wykazanie, iż umysł pierwotny przypisuje kobiecie taką potęgę mistyczną, sprawiającą, iż obcowanie małżeńskie staje się niemożliwem. Durkheim, na poparcie tezy swojej, przytacza obawę mężczyzn okresu dzikiego niesplamienia się krwią kobiecą — przesąd, który istnieje i u ludu naszego, mniemającego, iż kobieta w stanie niemocy peryodycznej wywiera wpływ jak najzgubniejszy na rośliny, pokarmy itd. U ludów pierwotnych, pod wpływem takiego zapatrywania, dochodzi do zupełnej odrębności towarzyskiej pomiędzy płciami: pracują one i jedzą oddzielnie, nawet często mieszkają nie pod tym samym dachem. „Wobec tych faktów, kwestya eksogamii zmienia swą postać. Jest widocznem, że zakazy płciowe co do swojej istoty nie różnią się od zakazów właściwych *tabu*. Pierwsze są tylko szczególną odmianą drugich. Przyczyna, która powstrzymuje mężczyzn i kobiety tego samego klanu od obcowania małżeńskiego, ta sama, która zmusza ich do możliwego ograniczenia wzajemnych stosunków towarzyskich." Socyolog francuski, w poszukiwaniu źródła zakazów, idzie jeszcze dalej. Stwierdza on, iż człowiek pierwotny wogóle unika zmazania się krwią współrodaka i nawet zwierzęcia, postępowanie zaś takie wypływa z przymiotów, przypisywanych tej cieczy. Kobieta zaś jest stworzeniem niebezpieczniejszem, niż inne, nawet w prawidłowem funkcyonowaniu organizmu swego może splamić mężczyznę. Obawa działała i wyżłobiła przepaść towarzyską i małżeńską pomiędzy płciami tej samej grupy.

Nastręcza się pytanie, dlaczego obawa ta ograniczyła się szrankami własnego klanu i nie przekroczyła dalej. Durkheim szuka na to odpowiedzi w totemiznie, tj. kulcie zwierzęcia, którego klan uznaje za swego przodka i od którego bierze nazwisko. Klanowcy oszczędzają życie zwierząt odpowiedniego gatunku, nie przelewają krwi ich i unikają splamienia się nią nawet. Ponieważ ród w okresie pierwotnym idzie w linii macierzystej, kobiety uchodzą specyalnie za chronicielki świętej, ożywczej cieczy praprzodków. Członek klanu, czujący więc skrupuły wobec kobiety własnej grupy, niema żadnych obaw względem tych, które należą do innych klanów. Wprawdzie, „z biegiem czasu, gdy pierwsze pobudki unikania przestały istnieć w świadomości, uczucie, wywoływane przez współrodaczki uogólniło się i na cudzoziemki — częściowo. Niektóre z zakazów towarzyskich, dotyczących kobiety z własnego klanu, zastosowano do pochodzącej skądinąd; kobieta wogóle, bez względu na pochodzenie, stała się przedmiotem pewnych tabu."

Takim jest według Durkheima rodowód eksogamii pierwotnej. Pobudka, raz jeden udzielona, działała, zmieniając w ciągu wieków swój charakter, aż wreszcie wydała zwyczaje właściwe naszemu okresowi cywilizacyjnemu. Podawszy wątek wywodów uczonego francuskiego, zrobimy tylko jedną uwagę, mianowicie iż wychodzi on z założenia zbyt sztucznego i zarazem kruchego. Dla nas osobiście cała podana teorya jest dowcipną raczej niż skuteczną próbą wyjaśnienia początku pewnego zwyczaju społecznego. Brak miejsca nie pozwala nam na uzasadnienie takiego naszego stanowiska, ani na wykazanie słabych punktów w streszczonej hypotezie.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Plony sezonu zimowego.

Z chwilą, gdy maj na nutę wiosenną nastroił umysł publiczności i oczy jej zwrócił ku lekkiej Muzie teatrzyków ogródkowych, opustoszały nieco Rozmaitości. Sezon zimowy wydał ostatnie tchnienie. Możemy zatem badać historyę nieboszczyka i wypisać mu nekrolog.

Czemu nekrolog? Czyż dla dziejów teatru jest on istotnie nieboszczykiem? Czy nie pozostawił po sobie nic, „coby było łez godne?" Czy nie rzucił na glebę umysłów ziaren, które w przyszłych sezonach wyrosłyby w łan bujny? Czyżby ten okres stanowił czas teatralnej martwoty, zastoju w sztuce?

Jest to pytanie, nad którem nie wolno przejść do porządku dziennego. Do zastanowienia się nad odpowiedzią jesteśmy obowiązani zarówno ze względu na teatr, jako instytucyę artystyczną pierwszego znaczenia, jak również i ze względu na

publiczność, która instytucyi tej pierwszorzędne znaczenie przypisywać powinna, i źle byłoby, gdyby je przypisywać przestała.

Zastanówmy się tedy nad tem, a pochwały i zarzuty formułujmy ściśle, popierając je z temperamentem ludzi, miłujących sztukę i wierzących w jej doniosłość.

Czy sezon ten wzbogacił repertuar teatru naszego? Czy był żniwem dla literatury dramatycznej? Czy reżyserya zrobiła postępy w sztuce inscenizacyi a artyści w grze? Oto kilka skromnych pytań. Lękamy się, aby i odpowiedź nie brzmiała zbyt skromnie.

Zacznijmy od przeglądu premier.

W nr. 45 *Echa Muzycznego* z dnia 6 listopada r. z. podano plan sezonu dramatycznego. Plan ten był nakreślony ręką bardzo śmiałą w przyrzeczenia w znaczeniu ilościowom, albowiem zapowiedziano wystawienie 21 sztuk swojskich, 51 tłomaczonych, czyli razem 72 nowości, nie licząc plonów, które miały napłynąć z konkursu dramatycznego *Kuryera Warszawskiego* i konkursu imienia Paderewskiego. Prace sędziów obu konkursów albo nie zostały ukończone, albo się jeszcze nie rozpoczęły, przeto pozostają na rachunku obietnic tylko owe 72 nowości. Tymczasem reżyserya wystawiła ogółem 10 sztuk nowych. A zatem po stronie „winien“ powstaje saldo tak wysokie, że w przyszłości podobnych „planów“ nie będzie można brać na seryo.

Jeszcze inna wada stanowi cechę owego „planu“ a mianowicie ta, iż ów plan nie jest żadnym planem. Jest on poprostu spisem najróżnorodniejszych sztuk, spisem jadłodajni hotelowej, dla której publiczność nie jest jednym człowiekiem, ale zbiorowiskiem apetytów i apetycików.

Nie chcielibyśmy powiedzieć zawiele, mniemamy jednak, iż nie obrazimy tem nikogo, jeśli wygłosimy twierdzenie, że ogłoszenie w „planie sezonu dramatycznego“ zamiaru wystawienia 72 nowości, jeśli każde słowo ma znaczyć to, co znaczy, było lekką blagą i to blagą świadomą. Przecież reżyserya za dobrze wie, ile sztuk w jednym sezonie wystawić zdolna. Rzuciła jednak w twarz przeciwnikom swym całą lawinę sztuk i na razie zmusiła ich do milczenia. Nikt nie odważył się zrobić jej zarzutu z tego, iż zamierza wystawić jakąś kleconkę sceniczną autora, znanego z braku talentu, jeżeli nieco niżej wyczytał zapowiedź arcydzieła Hauptmana „Dzwon zatopiony,“ lub innego arcydzieła tego genialnego dramaturga p. t. „Samotni.“ I dziś mamy prawo mówić, że była to blaga, gdyż nietylko nie wystawiono Hauptmana, ale nawet nie myśli się o tem. Reżyserya natomiast poszukuje tłomaczów sztuk, albo niższej wartości, albo jedynie wartości kasowej, poszukuje tłomaczów tanich jak piaskarze warszawscy, gdyż (proszę nie omdleć) za sztukę tłomaczoną płaci okrągłe siedemdziesiąt pięć rubli! Zdawałoby się, że każdy szanujący się autor propozycyę taką będzie uważał za osobistą obrazę i odrzuci ją z dumą człowieka, którego potraktowano jak skrybę od rejenta. Ale autorowie nasi są za biedni na to, aby byli dumni A może dlatego, że brak im dumy, są biedni?

Niepodobna obciążyć rachunku reżyseryi zarzutem, że w szeregu nazwisk, które jaśniały w dziale sztuk oryginalnych „planu sezonu,“ nie błyszczały słoneczne nazwiska Prusów, Sienkiewiczów, Orzeszkowych, Żeromskich, Sirków, Dąbrowskich, Weysenhofów. Legion pisarzów teatralnych (nie dramatycznych) składa się z innych nazwisk a nazwiska te, to jak robaczki świętojańskie, w świątłości dnia wszelki blask tracą. Lecz szereg ostatnich nowości swojskich był wyjątkowo słaby. Rozmaitości w sztukach, które miały największe powodzenie, zeszły właściwie do kategoryi teatrzyków ogródkowych. Stały się świątynią Farsy. Bo dziś się wszystko już świątynią nazywa, dokąd tylko ściągają tłumy. Niedługo cyrk nazywać będą świątynią estetycznych kozłów i mistycznych łamańców.

Ale natomiast można i trzeba reżyseryę obciążyć zarzutem, że nawet tych plonów literackich nie umiała wyzyskać, na jakie piśmiennictwo nasze się zdobyło.

Z „planu sezonu dramatycznego,“ wyfruwają ku nam muszki majowych nowalij piśmiennictwa, a na ich skrzydełkach brzęczących widnieją napisy: „Dla dobra ogółu,“ „Ogniwa,“ „Szaławiła.“ I znowu maleńkie kłamstwo konwenansu. Żądamy na scenie poezyi dramatycznej; reżyserya odpowiada, że liczyć się musi ze względami kasowymi. Daje więc lekkie komedye, a publiczność wręcza reżyseryi wieniec z jakimś napisem, którego treść brzmi mniej więcej: „artystycznemu wodzowi sztuki teatralnej.“ Jedno z dwojga: albo ta cząstka publiczności zalicza „lekkie komedye“ do dzieł kalibru artystycznego i w takim razie jest tylko głupia, albo też nie zalicza — a w takim razie jakiemi motywami kierując się, wieńczą publicznie wystawcę lekkich komedyi?

Przechodzimy do sztuk tłomaczonych. Z zapowiedzianych 51 nowości, wystawiono zaledwio dwie sztuki; zdaje się, że liczymy dobrze. Byłaby to do pewnego stopnia dość pocieszająca zmiana planu, położenie większego nacisku na twórczość swojską. Ale niestety nie trzymano się zasady, że z dzieł tłomaczonych należy podawać tylko takie, które nas czegoś artystycznie lub myślowo nauczyć mogą, które stanowić będą strumień ożywczy. Pomijamy „Ucieczkę“ Brieux, bośmy o niej szczegółowo swego czasu pisali; natomiast zastanowimy się jeszcze nad sprawą „Vasantaseny,“ która doczekała się obrońcy w osobie znakomitego znawcy literatury staroindyjskiej, Ignacego Matuszewskiego. Podniósł on karzącą rękę na krytyków „Vasantazeny,“ wykazując im nieuctwo, brak poczucia estetycznego itp. Zdaje nam się jednak, że wielce szanowny badacz i estetyk w tym wypadku nie ma racyi i że popadł nawet w pewną sprzeczność z samym sobą. Byłoby to może wynikiem zbytniego zagłębiania się w „piękno filologiczne.“ w zaschłe zielniki literatury. Co zaś do owego nieuctwa, to prawdopodobnie wielu a wielu głęboko uczonych ludzi zasłuży na ten zarzut ze strony Ignacego Matuszewskiego, podobnie jakby może pastor ewangielicki zasłużył na to ze strony rabina, gdyby chciał z nim wieść spór o tekst Tory. Nieuctwu temu byłby nawet do pewnego stopnia winien p. Matuszewski. Brzmi to nieco paradoksalnie, ale tak jest. Polak, który chce dziś coś wiedzieć o estetyce indyjskiej, sięga przedewszystkiem do prac p. Matuszewskiego. Cóż tedy z nich znajduje? Znajduje ciągle i bez końca, że typy teatru indyjskiego były konwencyonalne, że repertuar wypełniały figury „stałe,“ że istniały szablony postaci, że autorowie nie odtwarzali życia rzeczywistego, ale rysowali sytuacye, jakie nawet „miejsca mieć nie mogły.“

Wszelka stałość figur, wszelka konwencyonalność i szablon, to antyteza sztuki w dzisiejszem jej pojmowaniu. Przecież sam p. Matuszewski wyznaje: precz z szablonem, precz z wytartemi kliszami teatralnemi, precz z jakąkolwiekbądź manierą! A więc jakże to? Jeżeli stwierdzamy, że panuje u nas konwenans, że autorowie nasi piszą według pewnych szablonów, to na odświeżenie sztuki, na jej odrodzenie, na zwrot, zalecać będziemy kąpiel w innym konwenansie, w innym szablonie? Tak — klin klinem? Dla nas przynajmniej jest to niekonsekwencya i tłomaczymy ją sobie tylko w ten sposób, że jeśli przez tyle a tyle lat zagłębiał się badacz w zaświat staroindyjski i nagle posłyszał, że coś z tego zaświata przedostaje się na scenę, to drgnęło w nim serce nie estety, lecz filologa, zadowolenie szperacza, że przecie w końcu świat zainteresował się tem, czemu on tak długo i tak mozolnie poświęcał lata sił, zapału i zdolności. Zapomniał nawet, że tu nie o literaturę indyjską chodzi, lecz właściwie o niemiecką, o dramat Pohla osnuty na pierwowzorze indyjskim i — stanął w obronie sztuki, której ostatecznie bronić nie warto. Nie polemizowalibyśmy z nim, gdyż takim jak on ludziom nie powinno się w biegu podstawiać kija pod nogi, lecz należy z nimi współdziałać, jak z mężami pierwszorzędnego znaczenia w ocenie piśmiennictwa. Pragniemy więc współdziałać w imię sztuki, prostując jedynie w tym wypadku jego wywody i to nietylko ze względu na to, iż nie zachwyciła nas sztuka Pohla, ale raczej dlatego, że zdania niewolno nam jak świeczki biblijnej chować pod korzec osobistej przyjaźni i sympatyi, gdy idzie o sztukę i społeczeństwo. Pragniemy kiedy osobno zastanowić się w tem miejscu nad historycznem zamieraniem żywotności literatur zamierzchłych, o ile i czemu czucie dla nich tracimy, wreszcie dlaczego nie jest to „zanikiem uczuć estetycznych,“ tylko ich rozwojem. Obecnie czynić tego nie możemy, gdyż odbieglibyśmy od założenia — a czeka nas jeszcze dorobek ubiegłego sezonu w zakresie inscenizacyi i gry artystów, których plony przesiać musimy przez dość grubo sito.

Z upadkiem repertuaru łączy się ściśle upadek gry aktorskiej. Czemu? Rzecz niezmiernie prosta. Jeżeli autor stworzy postać żywą, wtedy aktor wgłębia się w nią, szuka w życiu ludzi podobnych, stara się ich podpatrzeć, wystudyować; tym sposobem rozwija zasób własnych spostrzeżeń, doskonali się, uwszechstronnia, postępuje naprzód. Jeżeli zaś autorowie tworzą typy konwencyonalne, aktor zaczyna się powtarzać, manierować, gra sztucznie, chłodno-patetycznie, nienaturalnie, ugania się za efektami na krótką metę, pragnie czasem nawet poprawić autora przez uwypuklenie bladej postaci pomysłami gry; ale nie zda się to na wiele. W roli sztucznej najgenialniejszy aktor traci skrzydła, bo pęta mu je szablon. Mamy wprawdzie niepospolitych aktorów, ale niktby tej niepospolitości nie domyślił się, gdyby ich sądził jedynie na podstawie gry w ostatnich nowościach sezonu. Rapacki, genialny Ben Akiba, niezrównany Łuba, mistrz w odtwarzaniu typów Fredrowskich — jakże pociesznie, jakże tragicznie wyglądał w „Szwaczkach“ Baluckiego? I takich artystów skazują na mordowanie roli Skoczkowskiego? A Frenkel, ów zdumiewający Frenkel, który dla poklasku dotąd jednego jedynego słowa nie wygłosił z trybuny scenicznej, jakiż był jego współudział w ostatnich nowościach? Jedyna rola, o której mówić warto, to rola przewrotnego satrapy z „Vasantaseny.“ Ale było to jeno bardzo interesujące studyum, nic więcej. Artysta jak ptak, może się tylko trzepotać, jeżeli rola jest dla niego klatką. Klatką, — a nie przestworem powietrznym, państwem orłów i skowronków.

A Ludowa, bez której wyobraziłby sobie u nas nie można „Gniazda rodzinnego“ Sudermana, artystka nad artystki, jakże rozpaczliwie wyglądała w roli Aminy! Ba, gdyby Jochimowi kazano ongi grywać zamiast koncertów Brucha i Betowena walce Wrońskiego lub nawet Iwanowicza, nie byłby ten klasyczny skrzypek w tragiczniejszem położeniu,

niż nasz Leszczyński, Rapacki, Frenkel, niż nasza Ludowa, Marcello. Ty aktorze, badaj i talent boży zdzieraj jak miotłę nad wymiataniem wszystkich śmieci, które padną na podwórze repertuaru.

A inscenizacya? Pod tym względem teatr nasz wywiera wrażenie scenki prowincyonalnej.

Inscenizacya powinna w dramacie zajmować takie stanowisko, jakie zajmuje w powieści strona opisowa, obrazy natury, nastroje. U nas jednak skąpstwo walczy o lepsze z niedbalstwem, czy też z zupełnym zanikiem poczucia. Rozmawialiśmy swego czasu z maszynistą teatru krakowskiego, który uskarżał się, że nie może wielu a wielu ulepszeń wprowadzić, gdyż brak na to funduszów przedsiębiorstwu. Powoływał się na urządzenia teatrów zagranicznych i wykazywał brak podstawowych czynników technicznych w teatrze krakowskim. Tymczasem ów teatr krakowski mógłby scenę naszą pouczyć, co to jest dzień w świecie kulis, co to jest słoneczne południe w pokoju, przez którego okna leją się złote promienie — co to jest nietylko dzień, ale każda pora dnia. Mógłby nas nauczyć, jak się duchy pokazuje na scenie, którym przecież „zamknięcie drzwi nie dokucza.“ Mógłby nas pouczyć, co to jest nastrój, w jakim stosunku stoi oświetlenie do krótkich notatek autora sztuki: „nastaje zmierzch,“ albo „świta.“ Tam maszynista umie wywołać niekiedy takie wrażenie, jak w malarstwie Chełmoński. Nasza sztuka inscenizacyjna leży jak malec w powijakach i to malec chudy, gardzący strawą, któremu się wydaje, że byle miał nowe sukienki dekoracyjne, to już będzie dorosłym człowiekiem.

Andrzej Niemojewski.

POEZYE

SONETY.

MGŁY.

Długo czasem nad ziemią gęstym zwojem wiszą
Mgły, nim ją wreszcie siatką osnują pajęczą,
Nim ją zwolna otulą swą opończą mniszą,
Pod którą głucho pieśni pogrzebowe dźwięczą!..

Gdzieś w lazurach gwiazd krocie rozmawiają [z ciszą,
Wśród której tylko duchy pokutnicze jęczą
I, odtrącone, lecąc, szlak swój złotem piszą,
Olbrzymie łuki kreśląc świetlistą obręczą.

A na ziemię, jak śnieg ten, co bez końca pruszy,
Lecą, lecą srebrzystych mgieł zwarte tumany
I osiadają na niej, jak smutek na duszy...

Wstanie słońce, poszarpie płaszcz, ze mgieł [utkany,
I odrodzoną ziemię do życia poruszy —
Ból zostanie. Nie wszystkie świt zagoi rany...

WALKA.

W noce bezsenne, księżycowe noce,
Dwa dziwne ptaki krążą nad mą głową:
Ptak wspomnień skrzydły srebrnemi łopoce,
Ptak nowych marzeń wtórzy mu echowo.

Widma przeszłości w swej dawnej powłoce,
Jak cienie, z grobów powstają nanowo, —
Lecz ku nim groźne kierują się moce
Duchów, co w przyszłość wkraczają tęczową.

Tak w każdej porze, o każdej godzinie,
Jako potężne dwa greckie tytany,
Przyszłość z przeszłością toczy bój zażarty.

Już, zda się, przeszłość gdzieś w otchłani ginie
I wstaje z mroków „jutra“ bóg nieznany,
Wtem znowu „wczora“ wznosie sztandar zdarty...

Władysław Bukowiński.

W DALI.

Dąbrowa. Korespondent *Kur. War.* donosi: Fabrykanci narzekają ogromnie na zły stan dróg bitych i zwyczajnych. Mosty są w tak opłakanym stanie, że często furmani nakładać muszą drogi, byle wozów i koni oszczędzić. Typowym pod tym względem jest most pod stacyą Strzemieszyce. Zniosły go przed laty wody rzeki Rakówki i od tego czasu nikt nie pomyślał o budowie nowego. Kupcy wnieśli prośbę do ministeryum komunikacyi, aby stosownem rozporządzeniem złe usunąć. Upór włościan, którzy oglądają się na zarząd kolei Wiedeńskiej, najwięcej przyczynił się do obecnego stanu rzeczy, wiadomo bowiem, że kolej przeznaczyła swego czasu 800 rs. na naprawę komunikacyi, ale włościanie chcieli z góry otrzymać pieniądze, więc sprawa się odwlekła i poszła w zapomnienie.

Płock. *Echa Płockie* podają następujące szczegóły o urządzeniu pomocy lekarskiej w gub. Płockiej: „Jako miejsca zamieszkania dla lekarzy, którzy mają udzielać pomocy bezpłatnej, wyznaczono miejscowości: Bielsk, Żuromin, Brudzeń, Trutowo, Rypin, Szreńsk, Ciechanów i Krzynowłoga Mała. Będą tam urządzone szpitale okręgowe, przy których, oprócz lekarza, mieszkać mają felczerzy i akuszerki. Z miejscowości powyższych lekarz obowiązany będzie raz na tydzień dojeżdżać do domu stacyi, gdzie urządzone będą ambulatorya do przyjmowania chorych przychodzących, a mianowicie: z Bielska do Staroźreb i Raciąża, z Żuromina do Sierpca i Koserzina, z Trutowa do Bobrownik i Dobrzejewa, z Rypina do Okalewa i Dobrzyńca nad Drwęcą, ze Szreńska do Lipowca i Strzegowa, z Ciechanowa do Golymina i Woli Mlockiej, z Krzynowłogi do Jednorożca i Dzierzgowa. Prócz tego z miast, gdzie już są szpitale, lekarz wyznaczony będzie dojeżdżał: z Płocka do Bodzanowa, z Lipna do Skempego, z Mławy do Grzebska, z Prasnysza do Gruduska, gdzie również urządzone będą ambulatorya do przyjęć raz na tydzień.“ Sumienne wypełnianie obowiązków będzie dla lekarzy dość uciążliwe, jeżeli się zważy, że lekarz będzie zmuszony odbywać podróże po 8 i 10 godzin. Trudności te dadzą się uczuć zwłaszcza w czasie epidemii. Z tego powodu *Echa* zaznaczają, że lekarzom wolnopraktykującym projekt powyższy niewiele przyniesie uszczerbku.

Wilno. Pozostałe z ogromnych dóbr księżnej Hohenlohe Werki pod Wilnem wraz z kluczem Lubczańskim i Nalibokami, posiadającemi ogromne lasy, sprzedano kupcowi z Odesy, p. Trabuttiemu podobno za $3\frac{1}{2}$ mil. rubli. Przeznaczył on te dobra dla swego zięcia, hr. Kapnista.— *Pet. Wied.* utrzymują, że gub. zachodnie pod względem zdrowotnym stoją znacznie niżej od tych, które posiadają ziemstwa. „W guberniach zachodnich jeden lekarz przypada na 83,000 ludności, gdy w „ziemskich“ jeden na 35,000 głów. Pensya lekarza nie przewyższa przeciętnie 720 rub., gdy w guberniach, posiadających ziemstwa, sięga 1230 rub. Przy niedostatecznej liczbie lekarzy służba zdrowia jest w kraju Zachodnim głównie w rękach felczerów. Lekarstw udziela się bezpłatnie dziesięć razy mniej, niż w guberniach, mających ziemstwa, co sprawia, że koszty nabycia lekarstw spadają znacznym ciężarem na ludność, zwłaszcza ubogą. Wreszcie co do charakteru pomocy lekarskiej, to w gub. Zachodnich niosą ją główie lekarze, wizytujący swoje rewiry, gdy w guberniach o samorządzie ziemskim pomoc ta udziela się głównie w szpitalach i ambulatoryach, których też jest tam znacznie więcej.“ — Korespondent z Szawel do *Birż. wied.* zaznacza, iż od roku znacznie zmalała liczba uczniów gimnazyum miejscowego z pośród włościan. „Tłómaczy się to tem, że gdy dawniej rodzice umieszczali dziatwę na pensyach według własnego wyboru, tj. na pensyach tanich, płacąc 15 rs. rocznie za mieszkanie, a na życie dostarczając prowianty w naturze, dziś, wobec zastrzeżenia, ażeby dziatwa przebywała wyłącznie na wskazanych stancyach uczniowskich, wieśniak musi płacić gotówką po 120 rs., włącznie z opłatą wpisowego książkami itd., do 200 rs. rocznie.“ Korespondent zapewnia, że do r. 1884-go w gimnazyum szawelskiem było uczniów trzy razy więcej, niż obecnie i że śród ogółu tej młodzieży dzieci włościan stanowiły $^1/_3$, gdy dziś czynią procent bardzo drobny.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa wspierania Żydów ubogich w Reczycy.

— W Lipcu przybyć ma do Warszawy specyalna komisya ministeryum skarbu, celem zbadania na miejscu warunków zniesionego prawa propinacyjnego we wsiach, tudzież oznaczenia normy, według której ma być wypłacane wynagrodzenie za utracone prawo propinacyi na gruntach obywateli.

— *Warsz. Dniewn.* zaznacza, że na 222 osób, składających personel agronomiczny ziemstw w 30 guberniach Cesarstwa, znajduje się zaledwie 9 osób, które ukończyły instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi.

— D. 11 b. m. odbyło się posiedzenie w sprawie opieki nad dziećmi. Odczytano na niem ułożoną przez p. Henryka Konica ustawę, którą J. O. ks. Imeretyńskiemu mają wręczyć pp. Moldenhawer i Libicki.

— Władza powiatowa poleciła straży ziemskiej czuwać bacznie nad osobami podejrzanemi na terytoryach mieszkań letnich i w razie potrzeby — usuwać ich stamtąd.

— Pożar poczynił znaczne spustoszenia w Terespolu. Ucierpiała przeważnie ludność najuboższa.

— Wyznaczona komisya w sprawie reformy loteryi Królestwa Polskiego, jak donosi *Warsz. Dniew.*, wypowiedziała się nietylko za utrzymaniem jej, ale nawet za rozszerzeniem.

— Pod przewodnictwem pomocnika generał-gubernatora warszawskiego, ks. A. D. Obolenskiego, jak donosi *Warsz. Dniew.*, odbyły się trzy posiedzenia komisyi w sprawie rewizyi obecnych przepisów, dotyczących straży ziemskiej. Roztrząsano kwestye ogólne, które należy przyjąć za zasadę przy pracach. Za podstawę czynności komisyi uznano sprawę utrzymania dla straży policyjnej jej dotychczasowej organizacyi, sposobu kompletowania i warunków materyalnych.

Szkoły. Według nowych przepisów ministeryalnych, do instytutu leśnego w Petersburgu będą przyjmowani słuchacze (od jesieni r. b.) na podstawie świadectw szkolnych bez egzaminów; sprawdzono bowiem, że na stopnie wpływa nietylko znajomość przedmiotu, rozwinięcie umysłowe uczniów itd., ale i stan rozdrażnienia, oraz wiele okoliczności przypadkowych.

Prasa. Wydawnictwo gazety *Wiatskij Kraj* zawieszono na osiem miesięcy.

Koleje i komunikacye. Pociąg kuryerski, kursujący obecnie pomiędzy Moskwą a Tomskiem, łączyć będzie Warszawę przez Petersburg i Moskwę. W Warszawie pociąg ten łączyć się ma z kuryerskimi z Wiednia, a w Wierzbołowie — z Berlina. Długość jazdy zwiększy się skutkiem tego o 36 godzin. Zmiana ta ma wkrótce nastąpić.

— Wynalazek Włocha Marconiego, telegrafowanie bez drutu, jak zapewnia pismo fachowe, *Spigolaturo Scientiche*, zastosowano już pomiędzy Needles na wybrzeżu wyspy Wight a znanem miejscem kąpielowem, Bournemouth, na wybrzeżu angielskiem. Odległość pomiędzy dwiema stacyami wynosi 23 kilometry, telegrafować zaś można z szybkością 12 słów na minutę. Podczas mgły aparat działa dokładniej, niż podczas pogody. Marconi zamierza teraz zacząć doświadczenia pomiędzy wyspą Whigt a Swanoge na wybrzeżu angielskiem, tudzież Cherburgiem na brzegu francuskim, a więc na odległość 100 kilometrów. Trudności telegrafowania zwiększają się w miarę spotęgowania odległości. Fale elektryczne, przesyłane z jednej stacyi na drugą, przyjmowane są na odbierającej przez system drutów, który musi być umieszczony tem wyżej, im większą jest odległość pomiędzy stacyami.

— W celu usunięcia niedogodności, jakie wynikają z powodu braku miejsc w pociągach osobowych kolei W.-Wiedeńskiej, świeżo uruchomiono pomiędzy Warszawą a Skierniewicami trzy dodatkowe pociągi osobowe na zasadach taryfy zniżonej (podmiejskiej). Kursują one w niedziele i święta obu stylów, oraz w dni galowe.

Wystawy i zjazdy. Szkoła malarstwa i rysunku dla kobiet p. Wiesiołowskiej w Warszawie otworzyła wystawę doroczną prac uczenic.

— Departament górniczy zamierza zwołać jesienią zjazd przemysłowców górniczych i właścicieli kopalń, celem obrad nad poprawą bytu robotników i wogóle nad sprawami górnictwa.

— Z powodu zwiększonego ruchu na kolejach zjazd naczelników wydziałów ruchu odbędzie się w Petersburgu dopiero w sierpniu.

Katastrofa kolejowa. W nocy z poniedziałku na wtorek na linii kolei Południowo-Zachodnich, o 7 wiorst od Kijowa, rozbił się pociąg spacerowy. Składał się on z 6 wagonów osobowych i bagażowego, wracał ze stacyi Bojarka. Wykoleił się na wysokim nasypie, pochyłonym w stronę Kijowa. Tender i dwa pierwsze wagony klasy trzeciej stoczyły się z nasypu i spadły w bagno. Inne pozostały na nasypie. Zabitych niema, lecz 17 osób (15 podróżnych i 2 oficyalistów) doznało szwanku. Dwie osoby ciężko ranione umieszczono w szpitalu kolejowym.

OFIARY.

Z Bessarabii zebrano na Kalonie letnie rs. 35.

Z Kijowa Polacy Uczniowie na naukę syna Klemensa Junoszy rs. 26.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 5 Іюня 1898 г. **Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.**